

ROLA

Rok V.
Kraków, dnia 10 grudnia 1911 r.
Nr. 50.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy zą wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.



W dzień Matki Najświętszej.

Klękam przed Tobą z okiem załzawionem,
Niepokalana ziem naszych Królowo!
I lilij szukam świeżych przed Twym tronem,
Ze śnieżną bielą, w skrach słońca tęczową.

Serdecznym lękiem dusza mi zamiera,
Gdy na garść patrzę maleńką tych kwieci...
Gdzie są, o Maryo, serca polskich dzieci,
Gdy ich tak mało dziś tron Twój przybiera?

Królowo nasza! Rzuć Aniołom Stróżom
Rozkaz, niech znajdą wszystkie bez wyjątku,
Niech idą rzeźwić ros niebiańskich krużą,
Więdnące w komnat lub izb ciemnym kątku.

Szlij w mury klatek miejskich, gdzie z ulicy
Zgorszenia zewsząd czyha mroźna fala,
Co serc kielichy łamie i obala,
Oślepłe nagle w ułud błyskawicy.

Gdzie zgubnych prądów jad truje powietrze,
Zwątpień zarodki w pąki wciska zdradnie,
Ślinę zgnilizny na liść świeży kładnie,
Aż kwiaty Twoje spali i w proch zetrze.

Szlij do lepianek. Stamtąd barwne kwiecie
W równianki Twoje łany mkło rolnemi;
Wionął zły przykład, złych pism cisnął śmiecie
I więdną kwiaty grzędami całemi...

Kędy w cześć Twoją, z szumem kołowrotka
Godzinek cudne szły rankiem chorały,
Tam się dziś rzadko z polską nutą spotka:
„Saksy“ swem błotem pieśń polską zbryzgały...

Słyszę śmiech wokół: „Na cóż próżne smutki?
Wszak tyle kwiecia, tyle barw i woni,
Daremnie trwoży, czas na żale trwoni,
Ktoś, co zapewne wzrok ma bardzo krótki!“

Ty wiesz, o Matko, ja mam bystre oko,
Cieszą mnie kwiaty, co swą jasną bielą,
Pod Twoje stopy wonne główki ścielą,
Lecz zwiędłych widok rani tak głęboko!

W dzień Twego święta, o Niepokalana,
Zdejm z serca mego udręczeń okowy,
Do błysków słońca dodaj promień nowy,
Niechaj mgła zwątpień opadnie, rozwiana.

O, rozrzuć prądy światła, siły, ciepła,
Gdzie dziś wróg niemoc i zgniliznę szerzy;
Ogrzej serc niwę młodzieńczych, co skrzepła,
Proporzec wiary zatknij na rubieży.

Niech pamiętają wszystkie polskie dzieci,
Że są w przybocznym Królowej orszaku,
Że znak królewski Maryi im świeci,
Że im bez hańby nie porzucać znaku!...

Korczak.

Rozbójnicze gniazdo.

XIX.

W domu miecznika. — U żyda. — Żywy nieboszczyk. — Spotkanie Nikity z Janaszem. — Radość miecznika. — Nagła zgryzota. — List. — Odwrót Janasza. — Zabawa.

W Mierzejewicach we dworze, z powodu zapust, zjazd był wielki.

Tak mówiono, chociaż sprowadzone skrzypki i sproszeni goście pod tym pozorem, zarazem byli przez pana miecznika powołani, aby w domu jego popularności i zamożności w oczach kasztelanica Jabłonowskiego świadczyli.

Jadąc z Podola do rodziców na Ruś, kasztelanic tak jakoś się pokierował, ażeby mógł pani miecznikowej złożyć uszanowanie.

Trafił tu na wielką radość z powodu oswobodzenia i powrotu samego miecznika, który już od kilkunastu tygodni był w domu, i na smutek razem, acz ten milczeniem zbywano, gdyż przyszła była wieść z Krakowa, że Janasz, który ratował swego pana i dobroczyńcę, padł poświęcenia swego ofiarą.

Miecznik nadzwyczaj mocno to uczuł. Przez dni kilka chodził jak osowiały, wzdychając i łzy ocierając, bo chłopca kochał bardzo. Jadzia zachorowała potem i tydzień była w niebezpieczeństwie, a wstawszy z łóżka, nie mogła jeszcze przyjść do siebie. Oboje rodzice pieszczotami starali się dziecię do życia przywrócić. Uśmiechała się im smutnie, nie mówiła nic, ale chodziła jak cień i zmieniła się na twarzy na straszliwie.

Co do kasztelanica, nie był pan miecznik od tego, ażeby świetnem małżeństwem podnieść swój dom, inaczej się jednak cokolwiek zapatrywał na to, niż żona.

Ponieważ jednak kasztelanica przyjąć wypadało, a właśnie były zapusty, miecznik posłał do sąsiadów, prosząc na chróst, z tem, że i skrzypki będą.

Jakkolwiek dom był zamożny, jak mało, i ptasiego mleka w nim chyba brakło, jednak oprócz muzyki, wiele drobnych rzeczy musiano kazać przywieźć z miasteczka. Było to w niedzielę zapustną. Nikita, który od czasu, jak o śmierci Janasza przyszła wiadomość, chodził smutny, jak po bracie, ciągle mówiąc o tym paniczu drogim, pojechał rad, że przynajmniej w miejscu siedzieć nie będzie, gdzie mu wszystko Korczaka przypominało. On jeden z Jadzią najmocniej odbolał śmierć Janasza.

Nikita małemi saneczkami jednokonnemi przed wieczorem dobiegał do miasteczka. Tu, jak to pospolicie bywało u nas, każdy dwór miał swoją gospodę, do której ludzie jego zajeżdżali, a której właściciel był zarazem faktorem i pełnomocnikiem pana. Ledwie konia postawił i do izby wszedł, Majerek począł się go rozpytywać po co, dlaczego przyjechał i czy czasem jego pośrednictwo nie będzie mu potrzebne? Dowiedział się naturalnie, kto był we dworze, jacy goście byli zaproszeni i co się z tego święciło.

— E! — rzekł wkońcu Nikita — wszystko nadaremne, panna za niego nie pójdzie, ja wiem, że nie pójdzie.

— Nu? a dlaczego?

— Bo nie chce.

— A dlaczego nie chce? — pytał żyd.

— Dlatego, że jej się nie podobał i nie pytaj mnie więcej. — Posyłaj do kwinty po muzykę i po wszystkiem.

Kwintą przezwano muzykanta, który zarazem nogą orkiestrę prowadził, a ręką na skrzypcach wygrywał pierwszy głos. Szczęściem Kwinta zamówiony jeszcze nie był. Nikita, zbywszy się tej najważniejszej sprawy, siadł przy stole, obu łokciami się podparłszy, gdy wśród mroku postrzegł sanki, zachodzące właśnie do gospody. Na nich siedział ktoś, rozpoznać go nie mógł, ręką wskazując dom Majerka.

Śnieg trochę prószył i przybyły otrząsał się z niego w sieni, a potem, drzwi otworzywszy, wszedł do izby. Nikita siedział wprost wnijścia, i podniósłszy oczy, otworzył usta, rzucił się, wstał z siedzenia a naostatek krzyknął:

— Wszelki duch Boga chwali!

— Aa! Nikita! — odparł Janasz, przybywający właśnie.

— Panicz! żywy! mój pan! — począł, biegnąc Nikita i rzucił mu się do kolan. — Jezu miłosierny! wy to jesteście!

To serdeczne przywitanie rozczuliło Korczaka, który uściskał chłopaka, nie mogąc przemówić słowa.

Wtem nadbiegł Majerek, żona jego, dzieci. — Wszyscy wiedzieli o śmierci Janasza i osłupieli, widząc go żywego. Gwar, szwargot, wykrzyki powstały w karczmie.

Konie, któremi Janasz przybył, zmęczone były bardzo, dalej już iść nie mogły, nie miał więc zamiaru stanąć na noc w Mierzejewicach. Nikita także chciał był nocować, lecz zmienił plan.

— Panicz tak chcesz spaść jak z nieba, bez oznajmienia, to nie może być — odezwał się. — Lepiej będzie, jak ja trochę przygotuję. Panienka chora, jegomość świeżo po chorobie, jak się pan tam pokaże, nie! to będzie źle. Ja na całą noc pojadę, a panicz dopiero jutro rano.

Nie sprzeciwiał się Janasz.

W chwilę, też zdawszy małe sprawunki na Majerka i poleciwszy mu, aby je do sani Janaszowi włożył, Nikita wódki się napił i jakby inny człowiek pospieszył napowrót do Mierzejewic.

W chwili, gdy się go jak najmniej spodziewano, Nikita już o późnej godzinie zajechał przed stajnię, konia oddał fornalowi, a sam, że się u miecznika jeszcze świeciło, pobiegł do niego.

Miecznik, swoim zwyczajem, powróciwszy do sypialni, klęcząc pacierze odmawiał; odwrócił głowę, zobaczył Nikitę, trochę się zżymnął, lecz modlitwy kończył. Dworak stał u progu. Po chwili, trzykroć uderzywszy się w piersi z całych sił, pochyliwszy przed obrazem, stary oparł się o łóżko, dźwignął i wstał. Popatrzył na Nikitę.

— Czegożeś ty, waryacie, leciał tak po nocy, na skręcenie karku! Wilcy stadami chodzą! Konia pewnie ochwaciłeś. Czemuś nie nocował w miasteczku? Co to jest!

— Gdzie tam, proszę jasnego pana, nocować było! Koni pełno, ludzi tłok, noc jasna, nie spędziłem szkapy.

— A co ci tak było pilno? to nie darmo — zawołał miecznik.

Nikita pomilczał.

— Kwintę zamówiłeś?

— Będzie jutro.

— Ryby dostałeś?

— A jakże!

— Gdzież u licha, po nocy?

— To Majerek.

Miecznik ramionami ruszył.

— No, to ruszaj spać!

— Proszę jaśnie pana, choć to niepewne, ale w gospodzie byli ludzie, jadący z Krakowa. Otóż jeden z nich bajki plótł...

— Co za bajki?

— Że tam dużo jeńców naszych król jegomość wymienić kazał teraz i że jeden z nich do Mierzejewic o furę pytał.

Miecznik przyskoczył doń z oczyma iskrzącemi.

— Na Boga! Nie pytałeś jak wyglądał?

— Mówili, że młody, tylko zmizerowany.

Łzy stanęły w oczach miecznikowi i podniósł ręce do góry.

— A! gdyby też Bóg cud uczynił! gdyby to był Janasz poczciwy!... cobym dał! cobym dał!

— No, tak z opisu toż się zdaje — dodał Nikita, patrząc mu w oczy i uśmiechając się dziwnie.

Zboiński wpatrzył się w niego i więcej począł się domyślać, niż słyszał. Przystąpił do niego i uderzył go po ramieniu.

— Ty coś wiesz, gadaj! nie bierz mnie na męki.

— Proszę pana, ja myślę, że on żyje!

— Myślę! myśle! mów, wiesz i lękasz się powiedzieć. Co to, ja dziecko? trutniu jakiś!

Nikita się w głowę poskrobał i za kolana go pochwyciwszy, wybuchnął:

— Jaśnie panie, Janasz żyje! żyje! na mojem go oczy widział!

Miecznik podskoczył, ale też do łóżka się odwrócił, do obrazu Chrystusa, padł i ręce rozłożywszy, głośno począł dziękować Bogu.

O Nikicie jakby zapomniał.

— Jejmość! Pójdź, zakołacz do Tulskiej, spytaj, czy pani się położyła?

Nikity już w izbie nie było. Miecznik chodził poruszony, trąc czuba, śmiejąc się sam do siebie.

— Bóg łaskaw, Bóg dobry, z sumienia mi kamień spadł.

Wtem pani Zboińska, jak stała w białym przyodziewku i czarnej katance, w czepku nocnym, zjawiła się we drzwiach. Postrzegłszy męża, który, po izbie chodząc, nogą podrzucał do góry, jak to był zwykł, gdy mu się co nadzwyczaj szczęśliwego, trafiło, osłupiała.

— A tobie co przyszło do głowy?

— Kochanie, panno moja, zgadnij, coć powiem.

Miecznikowa stanęła zdumiona.

— Cóż ty ze mną w zagadki grasz? mieczniku, co ci jest?

Zboiński do góry rękę podniósł.

— Chwała Panu na wysokościach... Janasz żyje!

Pani Zboińska krzyknęła, ale zamiast radości, której się miecznik spodziewał, stanęła niema, zamyślona dziwnie, a po chwilce, uchwyciwszy blisko stojące krzesło, siadła na niem i w milczeniu na ręce się podparła, patrząc na ogień, palący się na kominie.

Zboiński nie mógł tego jej usposobienia zrozumieć; zmieszał się.

Zboińska wreszcie spojrzała na męża, jakby badając go, i namyśliwszy się, poczęła:

— Bogu niech będą dzięki! tak, cieszę się i ja, dla was, dla nas, dla niego, cieszę się, ale mój drogi Krysiu, radość to z piołunem zmieszana.

— Nie rozumiem, słowo daję.

— Kiedy już Bóg tak zdarzył, to może lepiej, abyśmy się rozmówili bez ogródki.

— Ale na rany Chrystusowe! moja panno, mów, a prędko! W istocie do mojego życia nalaliście piołunu, nic nie rozumiem, trwożę się wkońcu. Co tam chowasz takiego?

Stanął przed nią miecznik; ta się wahać zdawała jeszcze, powstała z krzesła.

— Wola boża, ja matka nie podołam temu, dla ojca tajemnic być nie powinno. Wszyscyśmy Janasza kochali jak dziecko, ale pono nasza Jadzia pokochała go zanadto. Rozumiesz mnie? On temu nic nie winien. Uciekał prawie od niej. Dziewczę niewinne nie widziało w tem nic złego. Już w Gródku to postrzegłszy, starałam się ich rozdzielić. Janasz chciał tam zostać z dobrej woli, potem wyjechał do jegomości z listami i obłożnie zachorował w Konstantynowie. Przybyłyśmy tam, gdy go już na śmierć dysponowano, leżał jak trup. Jadzia przypadła do niego i głosem swoim do życia go w moich oczach przywołała. Chłopiec temu nic nie winien, ale trzeba ich rozdzielić. Widziałeś, co się z nia stało, gdy przyszła wiadomość o jego śmierci? Teraz, gdy się z tą myślą oswajać zaczęła, ten powraca...

Załamała ręce. Miecznik stał jak wkuty do ziemi, pobladł, zmienił się, usta wydął.

— Chciałoby się nie wierzyć tej biedzie — rzekł zmienionym głosem — ale ty, moja droga, masz oczy kobiety i matki, musi to prawdą być.

— Głowę tracę.

Oboje zaniemieli na chwilę. Miecznik się przechadzać zaczął zadumany.

— Co tu począć?

— Ja ci się z radą nie śmiem wyrywać — rzekła powoli miecznikowa. — Nikita może się jeszcze nie wygadał, zawołaćby go, nakazać mu, żeby nikomu ani pisnął, a posłać do Janasza, niech do Krakowa do króla jedzie. Dziewczę zapomni, kasztelanic się z nią ożeni, i...

Miecznik głową trząsł.

— Komplikacya — zawołał — a w dodatku kłamstwo. A nuż się wygadają! I znowu chłopca mi żal, jam życie mu winien, a odpędzę go od progu, jakby on co zgrzeszył. Przecież jejmość mówisz sama, że on tego na sumieniu nie ma. Jakże z nim tak postąpić?...

— Wszystko to prawda — łagodnie zaczęła miecznikowa — ale tu o dziecka jedynego szczęście i spokój chodzi.

— Jak mi Bóg miły, pierwszy raz w życiu tracę głowę, nie wiem, co począć...

— Przecież mu jej dać nie możemy? — zawołała matka.

— Ani śnić o tem! — wybuchnął miecznik. — Chłopak mi drogi — ale ani on może tak wysoko sięgnąć, ani ja tak się poniżyć! Gdzie! co za podobieństwo!

Chmurny, przeszedł się parę razy, otworzył drzwi i krzyknął w sień:

— Nikita!

Chłopak pobiegł wołać przybyłego. Stanął we drzwiach z twarzą rozjaśnioną.

— Czyś ty się już przed kim z tą nowiną nie wypaplał? — zapytał miecznik.

— Ja? żywej duszy nie widziałem. Chodziłem do kredensu, czy co zjeść nie znajdę.

— Jak ty mi piśniesz — rzekł po cichu, przystępując do niego stary i palcem grożąc mu na nosie — to mi się nie pokazuj na oczy!

Nikita ramionami ruszył, nie mógł niczego zrozumieć.

— Idź zaraz do stajni, każ sobie do sanek dać srokacza, weź chłopca dla bezpieczeństwa. Wracaj natychmiast do miasteczka, do Janasza dam ci list. Ale milczeć — bo...

Miecznik siadł zaraz pisać; pani Zboińska nie wychodziła.

— Niewdzięcznie się znajdujemy względem niego — odezwał się stary głosem, w którym łzy czuć było. — Serce mi się kraje, brzydzę się sobą, ale dziecko! jedyne dziecko! Bóg przebaczy... Moja jejmość, krew się pieniądzmi nie płaci, to prawda, miłość się nie nagradza posagiem, ale niechże biedak choć głodu nie cierpi. Trzeba go wyposażyć.

— Daj, co chcesz — zawołała Zboińska.

— Tysiąc dukatów mu poślę, niech się ma czem z pocztem postawić. Ale żebym też choć po kryjomu, widzieć go nie mógł!

— Gościa masz w domu — odezwała się Zboińska — na jutro zaproszonych osób tyle.

— Aleć w miasteczku go żydzi poznali i widzieli, to się nie utai — zawołał.

— Zakażemy mówić! Któżby śmiał! Majerek swoim zapowie, żeby milczeli.

Miecznik westchnął i siadł pisać. Ręka mu się trzęsła, oczy ocierał. Wreszcie, pióro rzuciwszy, wstał.

— Dopisz kilka słów — rzekł do żony — tyleśmy mu choć winni.

Miecznikowa, która widziała wzruszenie męża, przybiegła do stołu, pogładziła go po twarzy.

— Serce moje, pamiętaj, że to dla Jadzi czynimy. W sumieniu nie mamy nic. Chcesz mu ją dać?

Miecznik za głowę się pochwycił.

— Ale dajże mi pokój! wiesz, że umarłbym, gdyby tak za mąż wyjść miała! Do czegoby to było podobne! Nie mów mi tego, proszę.

— Mówiłeś o tysiącu — dodała Zboińska — daj mu dwa!

— Niech mu wiezie trzy — rzekł spokojnie miecznik — ale ja ci się klnę, że on i jednego nie weźmie. To wszystko jedno.

Siadła pisać pospiesznie Zboińska, a że w spokojny czas nieosobliwie wcale z piórem się obchodziła, teraz trudno było wyczytać, co nakreśliła. — Miecznik chodził jak oszalały, za głowę się rwąc.

— Tego mi jeszcze było potrzeba! — mruczał — po niewoli, po tych wszystkich plagach!...

Wkrótce Nikita milczący z pieniądzmi od stajni ruszył. Szczęściem, że mu Hołobę dano, który srokacza prowadził, bo sam nie byłby pewnie trafił do miasteczka, tak przygnębiony jechał i zrozpaczony prawie.

Zabierało się na dzień, gdy czarne dachy miasteczka, których śnieg od dymu okopciał, pokazały się na polu okrytem biało. W karczmie zamkniętej spało wszystko, trzeba było bić do drzwi długo, zanim zaspany belfer przyszedł otworzyć. Nikita wydobył swój ciężar z sanek i poszedł do izdebki, w której spał Janasz. Zrazu nie bardzo go chciał budzić, lecz słysząc hałas, Korczak sam się zerwał, pytając czy nie dnieje? Pilno mu było do Mierzejewic.

Wtem na progu ze świeczką pokazał się Nikita.

Przetarł oczy Janasz, popatrzył na niego.

— Co się z tobą stało? zbłądziłeś? nie dojechałeś do Mierzejewic?

Nikita rzucił zawiniątko, siadł na ławie i list dobył. Twarz jego mówiła wiele; domyślił się Janasz czegoś złego i rękę drżącą po list wyciągnął. Serce mu biło, odgadł niemal, co go czekało. Przy ogarku począł czytać list miecznika krótki, serdeczny, ale okrutny zarazem. Czytał raz, błądził po nim oczyma, czytał, drżał mu papier w rękach, potrzebował długiej chwili czasu, nim przyszedł do siebie. Zabrakło mu głosu. Nikita patrzył na niego z politowaniem, z bolem, z gniewem na miecznika, ale nie mówił też nic.

Przemógłszy ból wreszcie, Janasz list położył, głowę podparł, dumał.

— Mój Nikito — rzekł — kiedy taka wola państwa miecznikowstwa, ażebym pozostał umarłym, proszę cię, zakaż Majerkowi, ażeby o mnie nie gadał. Ja zaraz stąd ruszać muszę, tubym długo nie mógł zostać.

— Pieniądze — dodał — odwieziesz napowrót, ja ich nie potrzebuję, przyjąć nie mogę. Król mi dał na drogę, to starczy na powrót, lub... nie wiem. Trzeba sobie szukać kąta.

Wtem Nikita wybuchnął.

— Ani po panu, ani po pani tego się nie spodziewałem.

— Na miłość Boga cicho! — przerwał Janasz — oni wiedzą, co czynią. Ja tego im za złe nie mam, tak musiało być. Zawiniłem, żem się z Krakowa nie zgłosił.

Rozpłakał się Nikita. Janasz wstał co żywiej, aby tę samą furę napowrót do Krakowa zamówić. Nikita kilka razy narzekania poczynał, ale mówić mu nie dał. Za karczmą ścisnęli się w milczeniu, a dworak, widząc oddalające się sanki, stał długo, jakby wryty. Wreszcie zawiniątko wrzucił do wozu i do Mierzejewic powrócił.

Następny dzień w Mierzejewicach, który usiłowano uczynić wesołym, nie był takim wcale. Coś ciężyło na wszystkich sercach, jakiś niepokój widać było na twarzach.

Przed południem nadjeżdżający goście szczęściem przynieśli z sobą roztargnienie. Wesoły humor miecznika chwilami brał górę. Pani Zboińska krzątała się, podwajając starań i gościnności.

Jadzia wyszła też ubrana wedle rozkazu matki, ale z twarzą, której żaden nakaz nie mógł odmienić. Uśmiechała się łagodnie, smutnie, roztargniona i jakby na wszystko obojętna. Rówieśnice naprożno się ją rozbawić starały i przyjaciółki wypytać.

Odpowiadała im, że od chwili tej, gdy ją z matką Tatarowie napadli i śmierć lub niewolę widziała już przed sobą, do dawnej wesołości jakoś powrócić nie może.

Tymczasem wśród wiwatów i wystrzałów zabawa przeciągała się do dnia. Jabłonowski miał pono zostać przez ostatni wtorek, ale zrana pożegnał oboje gospodarstwo i niespodziewanie wyjechał.

Matka, która pilne miała oko na córkę, dostrzegła, że posępna twarzyczka jej, po odjeździe kasztelanica wyjaśniła się i wypogodziła. Trwały zabawy umyślnie dnia następnego, aby się ludziom nie zdawało, że je tylko dla Jabłonowskiego wyprawiano. Jadzia odetchnęła dopiero swobodniej na mszy popielcowej.

— A!... przecież to się skończyło — szepnęła po cichu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Bądź pozdrowiona!

Bądź pozdrowiona, bez zmazy poczęta,
Z pośród ludzkiego rodzaju wybrana,
Z pod prawa grzechu jedynie wyjęta,
Niepokalana!

Bądź podrowiona, nasza Judyt nowa,
Która Zbawienie wydałaś nam z łona,
Bądź pozdrowiona, Matko Chrystusowa,
Bądź pozdrowiona!

Bądź pozdrowiona, Matko wszystkich ludów,
Nad wszystkie dzieła Stwórcy wywyższona,
Przez którą stał się nam największy z cudów,
Bądź pozdrowiona!

Bądź pozdrowiona nasza Monarchini,
Na której skroni polska lśni korona.
Bądź pozdrowiona, cnót wszelkich Mistrzyni,
Bądź pozdrowiona!

Bądź pozdrowiona przez tych gwiazd tysiące,
Któremi błyszczy niebios każda strona,
Przez jasne słońca i blade miesiące:
Bądź pozdrowiona!

Bądź pozdrowiona i zawsze i wszędzie,
Przez cały wszechświat wiecznie bądź chwalona,
Który Cię wielbił, wielbić zawsze będzie:
Bądź pozdrowiona!

Arkadyusz Szarek.

POCIECHA RODZICÓW.



Choć w biednej chatce przy lichej strawie, ojciec i matka siedli na ławie, jednak im uśmiech ozdabia lica, bo troski spędza mała psotnica.

W progach rodzinnej, wieśniaczej chatki, na łonie swojej kochanej matki, to główką wstrząśnie, to rączką ruszy, czem śmiech wywabia z ojcowskiej duszy.

A kiedy pierwszy wyszepce pacierz, to tak szczęśliwa rodna jej macierz, jakby ją szczęście jakie spotkało i wszelkie smutki z serca rozwiało.

Patrzą rodzice jak w jasną tęczę... i marzeń snują nitki pajęcze i w myślach kreślą przyszłość dzieciny, swojej maleńkiej, swojej jedynej.

Dziś taka mała a za lat kilka, które przepłyną jak jedna chwilka, będzie z niej duża... duża dziewica!... I znów im uśmiech ozdabia lica.

A gdy dorośnie, wielu z młodzieży z swatami ku ich córce pobieży... i będzie taka bardzo kochana, jak ta promienna gwiazdka świetlana.

I takich marzeń, o dziecię moje! w rodziców głowach snują się roje, gdy spoglądają, dziecię, na ciebie, jakby na jaką gwiazdę na niebie.

Antoni St. Bassara.

W dniu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny.

Wśród ciszy świata, monotonności,
Gdy szatan swoje rozpiera złości,
Nasze modlitwy Anioł Stróż strzeże,
Przed Tron Maryi znosi w ofierze.

A gdyśmy godni łaski tej Pani,
Gdyśmy Jej całem sercem oddani —
Ona nam wzajem przy śmierci zgonie
Z tych modlitw naszych uwieńczy skronie.

Najświętsza Panno, święta Maryo,
Z ogrodów cudnych śliczna Lilio,
Broń nas od złego na tym padole,
Gdzie całe cierniem zasłane pole!

Spuść nam kropelkę rosy niebiańskiej,
Niech zakosztujem łaski Twej Pańskiej,
Bo cóż tu mamy na tej ziemicy,
Prócz tych boleści i serc krwawicy?!

Panno Maryo za te cierpienia
Składam Ci korne me dziękczynienia,
Lecz zbaw mą duszę wśród tej topieli,
O to Cię błagam każdej niedzieli!

I nigdy błagać Cię nie przestanę,
Kiedy spać pójdę i kiedy wstanę,
Póki tchu życia w grzesznem mem ciele
Zawsze Cię wzywać będę w kościele.

Wyjm kolce cierni, które mnie ranią,
Spraw, bym Cię uznał za swoją Panią —
Tam mnie doprowadź, gdzie szczęście wieczne —
Daj mi schronienie zawsze bezpieczne!

Gdzie niema płaczu, ani boleści,
Gdzie się to dusza szczęściem swem pieści,
Gdzie niezmącony spokój panuje
I szczęścia tego nic już nie psuje.

Kiedy mną rozpacz jak piłką miota,
Otwórz mi Pani niebiańskie wrota;
Niech blaskiem niebios będę olśniony,
Siłą niebiańską stąd posilony,

Bym snadniej walczył z swymi wrogami,
Ku niebios raźniej dążył krokami
I Twoje Imię na ustach nosił,
Wszelkie przykrości cierpliwie znosił!

O Pani moja! w Swojej dobroci
Zgładź nasze winy, kary za złości,
Z Twych nieprzebranych zasług w Kościele
Niech się przed nami skarb nieba ściele!

Wśród burzy życia bądź mi kotwicą,
Ucieczką moją, świętą Dziewicą,
Bądź drogowskazem, bym na mieliźnie
Nie ugrzązł, w piekła cudzej obczyźnie!

A kiedy życie jak bańka pryśnie,
Niech nam nadzieja w Tobie zabłyśnie,
Niech wola nasza w Tobie odpocznie
I chwalić Ciebie na wieki pocznie!

Niech Cię chwalimy wraz z Aniołami,
Śpiewamy pienia wraz z ich pieniami —
O Święta Matko, Panienko Święta,
Niepokalanieś dla nas poczęta!

Adam Jesionek.

Polak wśród rewolucyi chińskiej.

Pewien redaktor z Warszawy, będący właśnie w chińskiem mieście Hankau, nadesłał do gazet ciekawy list o rewolucyi chińskiej. Oto jego treść:

Przypadek zapędził mnie w główne ognisko rewolucyi chińskiej. Przybyliśmy do Hankau w najgorętszą porę. Żyjemy formalnie pod gradem kul karabinowych i armatnich. Na ulicę wyjść — rzecz niebezpieczna. Nie opisuję szczegółów. Nadmieniam tylko, że w chwili obecnej rewolucyoniści, doskonale zorganizowani, zajęli trzy sąsiednie miasta: Hankau (około miliona mieszkańców), Hanian i Wuczang (przeszło 600.000 mieszkańców), oddzielone od siebie dwoma rzekami. Koleją Pekin - Hankau napływają wojska rządowe i, chcąc odebrać miasto, bombardują je, zrządzają straszne szkody. My, Europejczycy, przebywamy na »koncesyach«, których broni 25 statków wojennych i około tysiąca marynarzy, nie licząc ochotników. Obie strony wojujące oszczędzają koncesyi. Kobiety i dzieci, wszystko wyjechało. Chińczycy, policya i służba, uciekli. Ulice jak wymiecione. Drożyzna poprostu straszna. Z niektórych gmachów na »koncesyach« widać pola bitwy jak na dłoni. Straszny obraz. Od czterech dni okręty chińskie bombardują miasto. W Hankau rewolucya zaczęła się od wybuchu bomby w chińskim domu na »koncesyi« rosyjskiej. Prawie równocześnie wszystkich Mandżurów (około 8000) w pień wycięto. — Pałace wicekróla i innych dygnitarzy spalone. Wicekról i paru jenerałów zdołało uratować się ucieczką. Rewolucyoniści powstrzymują grabieże i nie dopuszczają do krzywdzenia Europejczyków. Zawładnęli oni pocztą i telegrafem. Dla użytku prywatnego droga telegraficzna zamknięta. Poczta też niedomaga. Urzędnicy chińscy pouciekali. — Obowiązki listonoszów pełnią marynarze, którzy też obsługują stacyę telefonów. Zorganizowany przez Europejczyków lazaret »Czerwonego Krzyża« jest wciąż przepełniony rannymi z obu stron walczących. Admirał stojącej tu floty chińskiej, Sa, zawiadomił przed kilku dniami konsulów, że będzie bombardował Wuczang, naprzeciw rzeki położony, wobec czego »koncesyom« zagraża niebezpieczeństwo. Wobec tego prawie wszyscy opuścili europejską dzielnicę miasta.

Nazajutrz zaczęło się istne piekło. Od bomb i szrapneli zajęło się miasto chińskie. Już trzeci dzień pali się, dziś chyba w nocy pożar się skończy, bo już wszystko, co mogło spłonąć, spłonęło. Tak pomścił rząd chiński wybuch rewolucyi w Hankau. Czy skutecznie? Wątpić można. Mnóstwo ludzi zginęło. Ci co przy życiu pozostali, stracili całe mienie i w nędzę popadli. A nędza i w Chinach nie wiedzie do uspokojenia. Położenie pogarsza powódź, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Wraz z wojną wywołała ona głód, klęskę dość zwykłą w Chinach.

O zmianach, o reformach, najrozmaitsze krążą pogłoski, ale wszystkie na niekorzyść dynastyi mandżurskiej, a nawet całej rasy mandżurskiej w Chinach. A rasa ta liczy zaledwie 10 milionów, co jest garstką wobec 440 milionów Chińczyków. Obecny ruch, to nie dzieło wypadku, ani chwilowego oburzenia. Lata całe nań się złożyły. Urzędnicy, prawie wyłącznie Mandżurowie, strasznie krzywdzili i wyzyskiwali naród. Podatek, raz wyznaczony, wybierano przemocą dwukrotnie. Sądy stały się przybytkami niesprawiedliwości najgorszego gatunku. Znoszono to długo, sarkano po cichu. Wreszcie na obczyźnie, w Japonii, w Ameryce, dojrzał chiński ruch rewolucyjny. Obecnie zapłonął całą siłą. Gaszą go strumienie krwi, jakich Europa nigdy nie widziała, nawet w największych swoich wojnach.

Dziecię Maryi.

Żył w bardzo dawnych czasach ubogi chłopek, liczną obarczony rodziną. Nie mógł zarobić na tyle, aby wszystkich okryć i wyżywić, a tu do tego nadszedł czas głodu, i przyszła na świat córeczka. Poszedł biedak do lasu, aby choć jakie zwierzątko upolować i dziatwę i chorą żonę pożywić. Nic jednak nie spotkał — to też usiadł pod drzewem i gorzko zapłakał. Wtem stanęła przed nim śliczna pani, od której jasność promienna biła, a wkoło jej głowy gwiazdki błyszczały i rzekła:

— Jestem Matką Boską. Znam twą biedę, a żeś człekiem uczciwym, chcę ci dopomódz. Daj mi najmłodszą córeczkę, a wezmę ją do nieba i matką jej będę!

Biedak upadł Najświętszej Panience do nóg, zgodził się i serdecznie za łaskę podziękował.



Matka Boża zabrała dziewczkę do nieba i tu ją wychowywała.

Kiedy już podrosła, dała jej Matka Boska pęk kluczy i rzekła:

— Ja wychodzę a ty pilnuj mieszkania. Masz tu trzynaście kluczy. Te są od tych dwunastu izb, a ten od trzynastej. Te dwanaście wolno ci otwierać i do nich zaglądać, tylko trzynastej nie.

Dziewczynka zaciekawiona pootwierała pierwsze dwanaście izb i takie cuda tam ujrzała, że dała się uwieść pokusie i otworzyła drzwi trzynaste. Zaledwie je uchyliła, musiała zamknąć czemprędzej, taka oślepiająca jasność stamtąd biła. Była to bowiem izba Pana Boga, zaś w tamtych mieszkali Apostołowie. Przestraszona ukryła się w kątku i wyszła dopiero, gdy Panienka Najświętsza wróciła ze spaceru i zażądała kluczy. Kiedy je Zosia oddawała, spojrzała jej Matka Boża w oczy i spytała, czy nie otwierała drzwi trzynastych. Zosia odpowiedziała, że nie. I tak Matka Boża pytała jeszcze dwa razy i oba razy Zosia się zaparła. Tedy rzekła Matka Boża:

— Ponieważ do grzechu popełnionego się nie przyznajesz, będziesz dotąd niemową, dopóki go ze skruchą nie wyznasz.

Odebrała jej mowę i spuściła do wielkiego lasu. Tutaj żyła długi czas, żywiąc się korzonkami i wyrosła na bardzo piękną dziewczynę.

Raz polował w tym lesie król i spotkał ją. Tak mu się spodobała, że choć była niemową, pojął ją za żonę. Kiedy przyszło im na świat pierwsze dziecię, piękny chłopczyk, radość króla i narodu nie miała granic. W nocy ale przyszła Matka Boska, wróciła królowej mowę i spytała:

— Czyś otworzyła trzynaste drzwi?

— Nie! — odpowiedziała królowa.

Tedy Matka Boska zamknęła jej mowę i zabrała synka do nieba. Kiedy król się dowiedział, że dziecię znikło, bardzo się zmartwił, a z nim cały naród. Nie wiedziano jednak, jak się to stało.

I znowu to samo powtórzyło się przy drugiem dziecięciu. Królowa się nie przyznała do grzechu, a Matka Boska zato zabrała znowu dziecię do nieba i zrobiła je niemową.

Teraz ale poczęto w całym kraju opowiadać, że królowa dzieci własne pożera. Powoli jednak wszystko ucichło i czekano, co będzie dalej. I przyszło na świat trzecie dziecię, córeczka. I znowu nocą przyszła Matka Boża, przywróciła jej mowę i znów spytała:

— Czyś otworzyła trzynaste drzwi?

— Nie!

— Chodź ze mną!

Zabrała ją do nieba i pokazała dwóch zabranych ślicznych synków i spytała znowu:

— Czyś otworzyła trzynaste drzwi?

— Nie!

Tak sprowadziła ją Panienka Marya na ziemię, do pałacu, zamknęła jej mowę na nowo i zabrała trzecią dziecinę.

Kiedy gruchnęła po kraju wieść, że i trzecie dziecię zniknęło, wszyscy zaczęli domagać się kary na okropną matkę za pożarcie własnych dzieci. — I sam król w to uwierzył, że ona dzieci zjadła, to też wydał żonę sądowi. Królowa bronić się nie mogła, bo mowę miała zamkniętą, to też skazano ją na spalenie żywcem na stosie Ułożono wielki stos smolnego drzewa, a do słupa stojącego w środku stosu przywiązano królową i stos podpalono. Widząc śmierć przed oczyma, poczęła nieszczęśliwa myśleć, jakby tu przyznać się do grzechu. Umysł jej nie mógł jednakże nic stosownego wynaleźć, bo choćby była chciała prosić o darowanie życia, chyba by była chciała usprawiedliwić się, iż dzieci swych nie pożerała, to trud cały był daremny, gdyż myśli swych mową nie mogła wypowiedzieć. Gdy już ogniste płomyki poczęły sięgać jej stóp, rada była przed śmiercią przyznać się do kłamstwa. W tej chwili odzyskała mowę i głośno zawołała:

— Maryo! otworzyłam drzwi trzynaste! Maryo, daruj mi mą winę!

Zaledwie domówiła tych słów, spadł rzęsisty deszcz, który zagasił płonący stos, a w obłoku zjawiła się Matka Boża i oddając jej dzieciny, wyciągające do niej rączęta, rzekła:

— Kto się do grzechu przyzna i zań serdecznie żałuje, temu Bóg dobry wszystko przebacza i zapomina o złem.

Z temi słowy znikła, a królowa, odzyskawszy dzieci, mowę i szacunek męża i narodu, żyła długo szczęśliwa.

Powtarzała ona później nietylko swem dziatkom, ale dworzanom i wszystkim poddanym, gdziekolwiek sposobność się nadarzyła, aby nikt nigdy ust swych kłamstwem nie kalał, bo często za małe kłamstwo Bóg ciężką pokutę zsyła.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

III.

Kiedym tak w drżeniu wewnętrznem mego serca, zawieszony między nadzieją a rozpaczą, oczekiwał jakiejkolwiek wiadomości jak zbawienia dusznego, roztwierają się nagle drzwi i wpada zadyszany chłopak, oddając mi współcześnie brudną kartkę. Przedewszystkiem pytam się posłańca:

— Skąd jesteś?

— Z rogatki Jerozolimskiej od strażnika.

Otworzyłem więc gwałtownie kartkę i oto, co wyczytałem:

»JW. markiz Don Diego Cantalacillo Fontiveras przejechał przez rogatkę Jerozolimską dziś o godzinie wpół do dwunastej«.

Odetchnąłem i obdarzywszy posłańca, odaliłem go, nie chcąc, by był świadkiem mej niekłamanej radości. Po krótkim namyśle postanowiłem nie wychodzić z domu, czekając na dalsze raporty, gdyż dopóki nie będę wiedział, gdzie markiz stanął i jak długo zamierza w Warszawie zabawić, dopóty nie mogłem nic stanowczego przedsięwziąć.

Jakoż niedługo czekałem na te wiadomości. — W pół godziny po wyjściu pierwszego posłańca otrzymałem raport od Kurdybanka. Brzmiał on tak:

»Wielmożny Mości Dobrodzieju!

»Wiadoma Wielm. M. P. osoba przybyła do Warszawy końmi pocztowemi dziś o godzinie pół do dwunastej rano. Zadość czyniąc memu obowiązkowi, siadłem zaraz do dorożki i kazałem się wieźć za wyż rzeczoną osobą. Stanęła ona w hotelu Angielskim przy ulicy Wierzbowej, gdzie swoje nazwisko i godność podała jako markiz Don Diego Cantalacillo Fontiveras. Nie opuszczając ani na moment mego stanowiska, skąd czuwam nad JW. markizem, oczekuję rozkazów Wielmożnego Mości Dobrodzieja.

Jego pokorny sługa
Fabian Pankracy Kurdybanek.

Ledwiem przeczytał tę, urzędowym stylem pisaną, elukubracyę Imci pana Fabiana Pankracego Kurdybanka, aliści otrzymuję nowy raport rządcy hotelu Angielskiego, osnowy następującej:

»Wielmożny Mości Dobrodzieju!

»JW. markiz Don Diego Cantalacillo Fontiveras stanął dziś o godz. trzy kwadranse na dwunastą w naszym hotelu pod numerem 10 i paszport złożył na moje ręce, o czem mam honor donieść.

Uniżony Wielmożnego Mości Dobrodzieja sługa
Ignacy Dzięciołowski«.

Teraz, kiedy już miałem wszystkie potrzebne mi wiadomości, należało działać i to szybko. Nie tracąc więc ani chwili czasu, pobiegłem przedewszystkiem do hotelu angielskiego. Tu dowiedziałem się, że markiz kazał sobie podać śniadanie, które zjadłszy, poszedł spać. Przytem powiedział mi rządca:

— Ten pan markiz, proszę pana, myśli widocznie zamieszkać w Warszawie stale, niema więc obawy, żeby panu uciekł i pieniędzy nie oddał, ile że przyjechał szumnie, z mnóstwem pakunków, a wygląda po pańsku.

— Skądże pan wiesz, że chce w Warszawie zamieszkać stale? — spytałem.

— A bo mówił do służącego, żeby mu się wystarał o jaki dom parterowy, złożony z kilku pokojów, gdzie za miastem.

— I cóż?

— Ano cóż? ja tam nie mam czasu tem się zająć, chyba żeby dobrze zapłacił.

Przyszła mi nagle myśl, żeby do wyszukania mieszkania dla markiza użyć Kurdybanka. Przywołałem go więc i rzeknę do rządcy:

— Panie Dzięciołowski, oto masz pan pięć dukatów, a gotów jestem dać więcej, jeżeli pan zarekomendujesz tego oto pana markizowi, jako takiego, który trudni się wszelkiemi usługami dla gości hotelowych. Niechże więc on wyszuka markizowi mieszkanie.

— Dobrze! i owszem — rzekł rządca zadowolony z pięciu dukatów — jak tylko markiz się obudzi, zaraz tego pana zawiodę do niego.

Poleciwszy więc Kurdybankowi, żeby mi doniósł jak najszczegółowiej o wszystkiem, co markiz mu powie i co będzie robił, dodałem wkońcu:

— Panie Kurdybanek, podwoję panu przyrzeczoną nagrodę, jeśli pan się spiszesz dobrze. Nie potrzebuję panu mówić, że markiz jest lis szczwany, trzeba więc z nim ostrożnie postępować, żeby się nie zdradzić w niczem. Gdybyś go pan trochę wybadał o jego zamiary na przyszłość, o to jak długo myśli bawić w Warszawie, zrobiłbyś mi pan wielką przysługę. Tylko ostrożnie!...

— No, no! niech się pan nie boi, znamy się na tem: jeśli on jest lis szczwany i jam też nie fryc, nie takich jam w pole wyprowadzał. Zrobi się to zrobi...

I uśmiechał się, ukazując szereg czarnych zębów.

Uspokoiwszy się więc na tym punkcie, ruszyłem na Nalewki do Szmula Rabinowicza. Mieszkał on w dużym, świeżo pomalowanym domu, który do niego należał. Po schodach, dość brudno utrzymanych, wszedłem do rodzaju przedpokoju na pierwszem piętrze, gdzie uderzyła mię niemiła woń śledzi i cebuli. Na moje spotkanie wybiegła jakaś młoda i dość przystojna żydóweczka i zapytała dobrą polszczyzną czego sobie życzę.

— Chciałbym się rozmówić w ważnym interesie z panem Szmulem Rabinowiczem, czy go zastałem w domu?

— Tak, proszę pana, dziadek jest w domu, ale niech Wny pan zaczeka tutaj, albo — zawahała się chwilę — może pan przejdzie dalej, ja zawołam dziadka.

Wprowadziła mię do dużego pokoju o trzech oknach, z których jedno prowadziło na balkon i znikła. Usiadłem na fotelu przykrytym czerwonym adamaszkiem i począłem się rozglądać wokoło.

Kiedy tak się rozglądam, otworzyły się drzwi i wszedł poważny, wysoki żyd z siwą brodą, o czarnych, bystrych i przenikliwych oczach. Ubrany był w lekki, z jedwabnej materyi chałat, widocznie świeżo zarzucony i pantofle. Wszedłszy, obrzucił mię wzrokiem i zdejmując jarmułkę, spytał z żydowskim akcentem:

— Co Wielmożny pan chce od Szmula Rabinowicza?

— Chciałem się z nim widzieć, a może pan jesteś Szmulem Rabinowiczem?

— Tak, ja, co pan chce?

— Panie Szmul — rzekłem poważnie — muszę panu naprzód powiedzieć, kto jestem: jestem Kazimierz Kosa, były porucznik trzeciego pułku ułanów.

Żyd skłonił się milcząc, i nie przestając badać mię wzrokiem. Ja zaś mówiłem dalej:

— Przyszedłem do was, panie Szmul, żądać ważnej dla mnie przysługi, która, jak sądzę, będzie dla was drobnostką. Idzie mianowicie o to, czy znacie niejakiego Jana Jeniczanka?

Usłyszawszy to pytanie, Rabinowicz porwał się, strząsnął palcami i krzywiąc się, zawołał:

— Aj waj! jak go nie mam znać, ten łotr, łajdak Jeniczanek, on mnie oszukał na dwa tysiące reńskich, bodaj on przepadł, złodziej, bodaj go powiesili huncwota!

A opamiętawszy się nagle, spytał:

— Ny, co Wny Pan chce odemnie?

— Oto Jeniczanek ten winien był ojcu mojemu znaczne sumy, a ponieważ mówiono mi, że w przeszłym roku wy, panie Szmul, trudniliście się dostawami dla wojsk austryackich, że zatem musieliście znać Jeniczanka, jako intendenta tych wojsk, więc przyszedłem do was dowiedzieć się, czy nie wiecie, co się z nim stało?

— Co ja mam wiedzieć? ja nic nie wiem. Jeniczanek, jak ukradł 150 tysięcy reńskich z kasy wojskowej, tak zaraz uciekł i zarwał mnie łajdak na dwa tysiące reńskich. No, żebym ja wiedział, gdzie on jest...

— Mówiono mi, że go rozstrzelano w Chęcinach.



...zdejmując jarmułkę, spytał.

— Iii, bo to prawda? — skrzywił się żyd — jak on uciekł, zaraz gadali, że się schował do Grzymały pod Stopnicą, ny, gdzieby go tam chował tak wielki pan, jak pan Bogdański z Grzymały. Ny, ja chodził do grafa Holma, co był jenerałem i gadał jemu o tem, a graf zaczął krzyczeć na mnie i groził, że mnie powiesi. Tak ja zabrał się i pojechał do Warszawy, niech dyabeł weźmie tych austryaków, to huncwoty!... u nich powiesić biednego żydka, to jak orzech zgryzł.

— Więc znaliście Jeniczanka?

— Co ja go nie miał znać? albo ja to z nim mało geszeftów narobił?

— A poznalibyście go teraz?

— Czemu nie? wielka rzecz...

— No, to ja wam powiem, że Jeniczanek podobno jest w Warszawie, a ponieważ ja go nie znam, więc przyszedłem do was, ażebyście mi dopomogli. Ja wam pokażę osobę, która uchodzi za Jeniczanka, a wy mi powiecie, czy to w istocie jest on. Zgoda?

— Hm! hm! — mruknął żyd — a odbiorę ja dwa tysiące reńskich?

— Tego nie wiem, ale sądzę, iż mając pod ręką Jeniczanka, prędzej odbierzecie, niż gdyby go nie było. Zresztą, kiedy wam o to idzie, ja wam zapłacę te 2 tysiące reńskich, a wy mnie dacie kwit, to ja już wyduszę tę sumę od Jeniczanka, tylko mię przekonajcie, że osoba, o której mówię, jest nim.

Żyd się jeszcze wahał, oczywiście obawiając się czegoś, a raczej podejrzewając w tem wszystkiem jakiś głębszy interes; ale kiedym wyjął pieniądze i wyliczył mu na stół 8 tysięcy złp., zgodził się na wszystko. Wydał mi kwit i wyrzekł, że na każde moje zawołanie będzie gotowy.

Kosztowała mnie więc ta sztuka dość drogo i pieniądze, które wziąłem za sprzedaż mej sumy, znacznie się już zmniejszyły, ale nie żałowałem tego. Teraz Jeniczanek był w moim ręku, miałem wiarogodnego i żyjącego świadka jego kradzieży. Należało tylko poczekać nieco, aż lepiej wyjaśnią się zamiary pseudomarkiza w Warszawie, a potem uderzyć.

Jakoż wieczorem już samym przybiegł do mnie Kurdybanek z raportem.

— Zostawiwszy jednego z moich przyjaciół — mówił — żeby miał oko na markiza, przyleciałem do pana dobrodzieja z doniesieniem, że wszystko idzie jak najlepiej.

— Więc cóż? opowiedz pan.

— Naprzód zostałem przez rządcę hotelu przedstawiony markizowi jako człowiek znający Warszawę na wylot i umiejący wszystko zrobić. Pan markiz obejrzał mię od stóp do głów, przyczem ja oczywiście zrobiłem bardzo pokorną i głupowatą minę i począł mnie wypytywać, jak się nazywam, czem się trudnię, czy znam dobrze Warszawę itp. Odpowiadałem mu jak mogłem najlepiej, aż on, siadając na krześle, zawołał głosem takim jakimś zabawnym, że o mało nie parsknąłem śmiechem: »Łaskawy panie Merkury nowoczesnego Jupitera! uważa pan, jak on mnie nazwał? Muszę tu napomknąć, że ten pan markiz ma jakąś osobliwszą wadę w ustach, które mu drżą, jakby miał febrę.

— Do rzeczy, panie Kurdybanek, do rzeczy.

— Otóż proszę pana mówił mi tak dalej wciąż swoim zabawnym głosem: Ja potrzebuję niewielkiego domku parterowego, gdzieś w pobliżu miasta, wśród ogrodu, ukrytego przed oczyma ciekawych, pełnego ciszy i spokoju. Domek musi mieć ośm do dziesięciu pokoi, kuchnię, wozownię i wszystko, co potrzebne do wygody. Dobrzeby było, gdyby był umeblowany, a nawet trzeba, bo nie myślę tu długo bawić. Najmiesz na miesiąc, a gdy obaczę i gdy mi się spodoba, zapłacę zgóry. Czy znajdziesz mi, szanowny, zacny panie, taki domek i to najdalej w przeciągu dwóch dni, gdyż ma do mnie przybyć pewna dama, a chciałbym przygotować tu wszystko na jej przyjęcie?

— Jakto — przerwałem — powiedział, że przybędzie do niego dama?

— Tak panie, ale niech pan poczeka. Skoro usłyszałem o damie, postanowiłem dowiedziedzieć się o niej coś więcej, sądząc, że to panu się przyda. Rzekłem więc z pokorną miną: »Proszę JW. pana, jeżeli JW. pan oczekuje na damę, należałoby mi powiedzieć, jakie ma gusta ta dama, bym odpowiednio urządzone znalazł mieszkanie. Niech JW. pan spuści się na mnie«.

— Ho! ho! — rzekł na to, uśmiechając się — ta dama, tu zawahał się chwilę, pomyślał i wkońcu zawołał: lecz trzeba, żebyś wiedział, bez ciebie nie dałbym sobie rady. Ale, powiadam ci, zachowaj to przy sobie. Zapłacę dobrze, ale wymagam milczenia. Trzeba, żebyś mi ułatwił wszystko, co potrzeba do wzięcia ślubu, rozumiesz, zacny Hermesie?

— Ślubu! — zawołałem — ślubu! ach nędznik!... rozumiem teraz.

Jakoż było to jasne. Teraz pojąłem, dlaczego markiz chce pozostać jakiś czas w Warszawie, pomimo wiszącej nad nim groźby Holma i pomimo niebezpieczeństwa, jeżeliby Holm, dowiedziawszy się, że Jeniczanek nie wypełnił jego rozkazów, chciał spełnić to, co przyrzekł. Oczywiście markiz liczy na to, że Holm się nie dowie, a jeśli się dowie, będzie już zapóźno, bo markiz się ożeni z ciocią Antoniną i wydrze majątek Holmowi. Gdyż nie kto inny jest ową damą, na którą oczekuje markiz, tylko ciocia Antonina, z którą zapewne zdołał markiz porozumieć się w nocy przed swoim wyjazdem. On zaczeka tu na nią w Warszawie, poczem po jej przybyciu we-

źmie ślub i dopiero wówczas ucieknie za granicę śmiejąc się w duszy z Holma. Ale ja tu jestem i nie dozwolę, żeby ciocia, która widocznie oszalała, wpadła w ręce tego łotra.

Myśli te przebiegły mi przez głowę błyskawicą, uspokoiwszy się, rzekłem do Kurdybanka:

— Mów pan dalej!

— Kiedy on mi to powiedział, ja mu na to, że przygotowanie ślubu będzie rzeczą dość trudną i dość kosztowną, gdyż bez zapowiedzi nie dadzą, ale posmarowawszy dobrze, może się uda.

— Oh! zapłacę, co trzeba, tylko zrób, zrób to.

— A kiedyż ta dama przyjedzie? muszę wiedzieć, jak się urządzić.

— Za dwa, za trzy dni najdalej, po przyjeździe zaraz musimy wziąć ślub. Oprócz tego trzeba, żebyś mi wyszukał jakiego służącego, tylko takiego, co umie milczeć, i kucharkę. Więc idź i rób.

— Oto moja rozmowa z JW. markizem — kończył Kurdybanek. — W tej chwili markiz jest w teatrze, miałem więc chwilę wolną i wpadłem do pana, na wszelki wypadek jednak, mój przyjaciel czuwa nad markizem w teatrze.

— Bardzo dobrze, panie Kurdybanek, nie należy go teraz spuszczać z oka ani na chwilę. Ale powiedzże mi, gdzie myślisz znaleźć takie mieszkanie, jakiego wymaga markiz?

— Och, to rzecz najłatwiejsza! W »Ogrodzie Róż«, przy alei Ujazdowskiej, znajduje się w głębi duży domek, z sześciu pokoi złożony, właśnie teraz jest do wynajęcia. Już ja to zrobię, tam pomieścimy markiza. Pan zna »Ogród róż«?

— Znam, znam — odrzekłem — tak jest to miejsce dość ustronne i ciche, dobrze, najmij i niech się markiz przenosi. Co się zaś tyczy ślubu — dodałem — staraj się, panie Kurdybanku, rzecz tę przedłużać, robić trudności..., a gdyby ta dama przyjechała, daj mi natychmiast znać. Jeszcze jedno, gdyby markiz jutro także poszedł do teatru, może ci się uda wcześniej o tem dowiedzieć, nie zapomnij mnie uwiadomić.

Zostawszy sam, począłem rozmyślać, coby mi czynić należało wobec tej nowej i niespodziewanej komplikacyi? Nie wątpiłem bowiem ani na chwilę, że tą damą, na którą oczekuje markiz i z którą ma wziąć ślub, jest nie kto inny, tylko biedna ciocia Antonina. Przedewszystkiem pytałem się siebie, czy powinienem się w to mieszać, ale z drugiej strony, dbając o dobre imię rodziny, którą szanowałem, postanowiłem nie dopuścić do tego, żeby się markiz z ciocią ożenił i w tym celu powziąłem zamiar uderzyć w niego natychmiast, jak się tylko przeniesie do »Ogrodu Róż«.

Obok tego rozmyślałem, czyby nie dało się zazapobiedz kompromitującemu ciocię wyjazdowi do Warszawy, ale obliczywszy czas, uznałem to wprost za niemożliwe, napisałem następujący list do Maryni:

»Droga panno Maryo!

Pilnuj pani panny Antoniny i nie dozwalaj jej na wyjazd do Warszawy, gdyż markiz czeka tu na nią w zamiarze zaślubienia jej. Panna Antonina, według słów tego łotra, ma przybyć do Warszawy w tych dniach. Nie potrzebuję pani mówić, że zachowanie tajemnicy o tym wyjeździe jest rzeczą ważną.

Warszawa, d. 9 lipca w nocy 1810 r.

Kazimierz Kosa.

Z listem tym pobiegłem zaraz na pocztę i wyprawiłem go do Grzymały.

Tak załatwiwszy me sprawy, wróciłem do domu, by spocząć nieco po dniu pełnym wrażeń i spodziewając się jeszcze silniejszych wrażeń i wypadków na dzień następny. (Ciąg dalszy nastąpi).



Takie babskie teraz powietrze na całym świecie, ze jaze strach. Nie lunie z nieba, ino chlapie a chlapie, kieby jaka baba po nieboscyku chłopie. A rano teraz to się robi kole południa a wiecór zacyna się zaraz w połednie, ze ani porzondnego dnia ni mas odrobiny.

A i ta odrobina, co się to dniem nazywać kaze, to jaki mi to tam dzień, kiedy mgliska po ty ziemi się włócą, kieby dziady po chałpach, ze cłek przez nie ani szóstki w własnej kieseni, ani masła na chlebie uźryć nie moze. Latego tez nie wiem, cy mi bez jesień dają gospodyni masła na chleb, cy nie. Gospodyni padają, ze dają, ino ja go bez mgłę nie widzę, ale mnie się widzi, co to nieprawda, bo chleb nie tak prędko lezie do gęby, jakby był z masłem.

Ta mgła zrobiła, zem se wcoraj mojego nosa o nos Bartka o mało nie rozbił. A było to tak: Ja sedem na gałązki do lasa a Bartek sed z lasa. Ja Bartka nie widzioł a Bartek mnie nie widzioł. Ja sed prosto i Bartek prosto. Ino ze Bartek sed z lasa a ja do lasa, a bez to tak śmy się oba ścięli, jak dwa hajzybony. Wtedy my się dopiero uźreli i zaceli gadać.

Bartek, zawse jak Bartek! Ni z tego ni z owego zaraz zacyna o katefisie gadać i tak mamroce:

— Jak ty myślis, Maciek! będą baby w niebie, cy nie?

— Bo ja wiem? — ja na to — pewnikiem będą, bo pocoby je Pan Jezus stworzył.

— Toś głupi! — pada Bartek. — Pan Jezus stworzył baby na utrapienie ludzkie, ale nie do nieba. Jakby tam bab nalazło, a zacęły trajkotać, toby wsyscy święci z nieba poumykali, choćby do Hameryki. Święty Pieter od własny zony odesed a inseby tam puscał.

— Kie widzis — ja mu na to — w niebie będą ino dusycki ludzkie, to nikt gadać nie potrafi, bo jego ciało zgnije i chrobaki je zjedzą.

— Juści — pada Bartek — ale potem to ciało zmartwychwstanie i gadać będzie umiało, bo przecie mowy swoi nie zapomni.

— No, choćby i tak — prawię ja swoje — to przecie zadna pyskata baba do nieba nie pójdzie, a pójdą ino takie, co umią pieknie na chórze śpiwać i znają na pamięć rózne pieśni, aby tam mogły pieknie Panu Jezusowi kolendować.

— E, toby ino co niktóra baba tam posła — pada Bartek — a reśta gdzieby ci się w piekle pomieściła?

Na to nase gadanie nadsed jegomość i jął nas pytać, nad cem tak deliberujewa. Jak my mu opedzieli, tak jegomość padają:

— Do nieba moze pójść kuzden, trzeba zeby się mu ino zmarło bez wielgiego grzychu. Pan Jezus nie patrzy cy to chłop, cy baba, byle był cłek dobry i niegrzysny. A co tam w niebie będą robić gadatliwe baby, to juz rzec Boska, nie takich smyków, jak wy.

Z TYGODNIA.

Konsekracya księcia biskupa Sapiehy. Z Rzymu donoszą: Ojciec św. Pius X. dokona osobiście konsekracyi księcia biskupa krakowskiego, Adama Sapiehy w dniu 17 grudnia b. r.

Rokowania polsko-ruskie. W Wiedniu rozpoczęły się rokowania między prezydyum Koła polskiego a klubem ukraińskim w sprawie ugody z Rusinami. Rusini postawili, między innemi, następujące warunki: 31 proc. mandatów w Sejmie galicyjskim, zaprowadzenie osobnej kuryi narodowościowej ruskiej, trzech członków Wydziału krajowego, jednomandatowych okręgów wyborczych narodowościowo rozgraniczonych, uzupełnienie kuryi wiejskiej i powiększenie liczby jej posłów do 88.

Wybory uzupełniające do Rady państwa. W okręgu 27 (Drohobycz-Turka Bolechów-Skole) wybrano posłem Dra Natana Löwensteina (dem.) — W okręgu 33 (Złoczów-Zborów itd.) H. Reizesa (syon).

Skazanie Niegusza. Socyalista Niegusz, który w dniu otwarcia parlamentu strzelał do ministra sprawiedliwości, został na mocy werdyktu sądu przysięgłych w Wiedniu skazany na 7 lat ciężkiego więzienia z postem co kwartał i ciemnicą w rocznicę zamachu. Jako obciążające okoliczności przyjęto zbieżność dwu zbrodni, powtórzenie strzałów, oraz wzgląd na miejsce czynu i osobę atakowaną; jako łagodzące: przyznanie się do winy, zaniedbane wychowanie i wzburzenie w chwili czynu z przyczyn poza osobą sprawcy leżących. Oskarżony chciał wyrok przyjąć, ale obrońca wniósł zażalenie nieważności.

Wojna włosko-turecka. Wskutek chwilowej niezmiernej przewagi liczebnej Włosi odnoszą coraz nowsze zwycięztwa. Jednak rozumieją, że zwycięztwo ich polega przedewszystkiem na posuwaniu się wgłąb kraju. To też faktycznie piędź za piędzią zdobywają i powoli wprawdzie, ale stale posuwają się naprzód. Muszą wprawdzie wiele sił trawić na fortyfikowaniu zdobytych pozycyj, ale przed tymi ofiarami cofnąć się nie mają sposobu. To też pod Trypolisem ciągle trwają walki i ciągle padają trupy. Tak samo ma się rzecz pod Benghasi i Derną. W dniach ostatnich przyszło tam do ciężkich starć. Straty po obu stronach wynoszą 1500 ludzi. Włosi nie wychylają się za linię, chronioną przez działa okrętowe. Spodziewać się więc należy nowych krwawych ataków. Mimo ostatnich klęsk, Turcy nie stracili ducha, bo, jak donoszą telegramy, Włosi ponieśli dwie klęski.

Z Persyi. Rozległym tym krajem azyatyckim, chociaż posiada niepodległość, podzieliły się już jednak Rosya i Anglia; pierwsza zapewniła sobie wpływ nad Persyą północną, druga nad południową. Obecnie nastąpiło zaostrzenie stosunków pomiędzy Rosyą a Persyą i Rosya wysyła swe wojska na stolicę Persyi Teheran. W całym kraju panuje gwałtowne wrzenie. Persowie gotują się na »świętą wojnę« przeciw Rosyi. Są oni mahometanami i nienawidzą chrześcijan. Wojsko rosyjskie w Persyi zaczyna gospodarować, w niektórych miejscowościach przyszło do walk z siłą zbrojną perską.

Rewolucya w Chinach. Ruch rewolucyjny w Chinach w każdym niemal dniu inaczej się przedstawia. Słyszeliśmy o wielkiem zwycięztwie wojsk rządowych nad powstańcami, potem przyszła kolej klęsk na wczorajszych zwycięzców. Mianowicie cesarskie wojsko z Hunan nie chciało iść do ataku, a wkrótce potem zbuntowało się 5000 rekrutów, którzy zabili oficerów w chwili, gdy mieli zaatakować nieprzyjaciela. Dnia 27 listopada wojska cesarskie pobiły powstańców koło miejscowości Ningiuen w walce regularnej.

KRONIKA.

(J. B.) **Wieczorek listopadowy** w Jaworniku polskim. Szanowni czytelnicy »Roli« zapewne nie słyszeli jeszcze o naszej małej mieścinie Jaworniku polskim, powiatu rzeszowskiego. Miasteczko to, położone między górami, słynne było i jest chyba tylko z tego, że mieszka w niem »cudowny« rabin i że do niego z krańców świata odbywają się pielgrzymki żydów. W tem oto miasteczku znalazła się garstka ludzi dobrej woli, ludzi, którym dobro kraju leży na sercu i utworzyli różne stowarzyszenia, jak: Kółko rolnicze, Kasę Raiffeisena, straż ogniową i Związek teatrów i chórów włościańskich. Do niedawna żydzi, i swoi i obcy, wyzyskiwali naród miejscowy i okoliczny, ten, nie świadom, że w jego mocy leży siła i potęga, dawał się uwieść różnym wpływom. Obecnie już nastąpiła wielka zmiana. Naród garnie się do oświaty, uczęszcza pilnie na zgromadzenia Kółka rolniczego i chętny jest wszelkim staraniom, przedsięwziętym przez powyższe Towarzystwa. W dniu 26 listopada urządził teatr i chór włościański uroczysty wieczorek ku uczczeniu rocznicy powstania listopadowego. W program tegoż weszły: 1) Odczyt o powstaniu. 2) Miejscowi amatorzy odegrali sztukę p. t.: »Za sztandarem«. Zakończyły żywe obrazy: »Polska w kajdanach« i »Atak kosynierów«. Salę wypełniła publiczność po brzegi, nastrój był tak poważny, że niektórzy gospodarze mieli łzy w oczach. Dnia 29 listopada odprawił Przewiel. ks. proboszcz W Bar uroczyste nabożeństwo za poległych, a chór włościański odśpiewał pięknie podczas mszy św. pieśni żałobne. Nadmienić należy, że tutejsze nauczycielstwo, przy współudziale duchowieństwa, wydatnie pracuje w powyższych towarzystwach za co tu składamy im serdeczne podziękowanie. Ich to zasługa, że towarzystwa te nie śpią, ale biorą się do coraz to nowej pracy. Najnowszym owocem tej pracy jest założenie dętej orkiestry.

(J. K.) **Świętokradztwo.** Niewyśledzony dotychczas zbrodniarz dopuścił się w Smolnie, pow. brodzkim, świętokradztwa w tamtejszej cerkwi. Porozbijał mianowicie wszystkie skarbonki i w ten sposób skradł około 400 kor. Wątpić należy, żeby katolik dopuścił się świętokradztwa; zdaje się, że tego czynu dopuścił się jakiś żyd.

(W. K.) **Poświęcenie szkoły.** Dnia 23 listopada b. r. odbyło się uroczyste poświęcenie budynku szkolnego w Ptaszkowej, w powiecie grybowskim. Budynek składa się z dwóch sal naukowych i pomieszkania dla kierownika szkoły, a został wybudowany kosztem funduszu krajowego. Aktu poświęcenia dokonał Wielebny ks. Ignacy Kołodziej, miejscowy proboszcz, znany powszechnie jako szczery przyjaciel szkoły, nauczycielstwa i ludu. Uroczystość tę zaszczycił swoją obecnością p. Witoszyński, inspektor szkolny, znany ze swej pracowitości i zdolności, który już niemało dobrego uczynił dla szkół w powiecie grybowskim. O godzinie 8 rano odprawił ks. proboszcz solenne nabożeństwo, po którem ruszyła procesya do budynku szkolnego, przystrojonego, nad którego drzwiami umieszczony był napis: »Na chwałę Boga i narodu«. Po odprawionych modłach przemówił ks. proboszcz do zgromadzonych o potrzebie oświaty, zachęcał do regularnego posyłania dzieci do szkoły, zwrócił się do kierownika szkoły, zagrzewając go do pracy z życzeniami najlepszego skutku. Dalej przemawiali: p. Janus Antoni, przewodniczący Rady szkolnej miejscowej, inspektor Witoszyński i p. Władysław Kowalski, kierownik szkoły. Po akcie poświęcenia odbyło się przyjęcie u kierownika, podczas którego wznoszono toasty.

Uroczystość wywarła dodatnie wrażenie na wszystkich obecnych, a szczególnie na gospodarzach i gospodyniach, z których twarzy wyczytać można było podniosły nastrój i głębokie wrażenie.

(W. T.) **Złe skutki podchmielenia i swawoli.** Pewien gospodarz z Nowego Bystrego, nazwiskiem Kubik, był na robocie z innemi chłopakami przy młóceniu zboża. Tam dawano im wódki, a gdy się podchmielili, chłopcy stroili sobie żarty z Kubika. Wieczór, gdy ukończyli młockę około godziny 9, Kubik, uniesiony gniewem na dokuczników, poszedł do domu, wziął rewolwer i chciał do tych chłopaków strzelać, gdy powracali do swoich domów. Ci, gdy zrozumieli, co Kubik zamierza czynić, przyskoczyli do niego i rewolwer mu odebrali. On znów przyniósł strzelbę i zaczął strzelać do nich. Trafił jednego w nogę, drugiego w rękę. Postrzelony w nogę leży chory. Kubik mówi, że jemu wolno strzelać, bo ma wydzierżawione polowanie. W dwa dni po wypadku żandarm zabrał wszystkie strzelby a sprawa Kubika toczy się w sądzie.

(P. D.) **Żywcem spalony.** W Bysinie, dnia 21 listopada, gotowała wieczerzę Wiktorya Kipkowa. Zobaczyła, że jej brakło soli i poszła jej pożyczyć od sąsiada, zostawiając w domu niespełna pięcioletniego chłopca, który w czasie nieobecności matki przybliżył się do ognia tak nieostrożnie, że się zapaliła na nim odzież. Chłopak, wiedząc gdzie matka poszła, pobiegł za nią do domu sąsiada, odległego o 30 kroków. W czasie biegu płomień bardziej go ogarniał. Zanim zdołano go ugasić, tak się biedak poparzył, że w strasznych boleściach żył jeszcze 12 godzin i umarł.

(J. S.) **Nagły zgon.** W przysiołku Slezaki, należącym do gminy Dąbrowicy, w powiecie tarnobrzeskim, zmarł nagle Antoni Prażuch. Dnia 20 listopada pracował jeszcze cały dzień około poprawy swego domu. Gdy skończył robotę wieczorem, nie czując się słabym, przyszedł do izby. Po wieczerzy, około godziny 10 w nocy buchnęła mu krew ustami i oddał Bogu ducha.

Ofiara bandytów. W zeszłym tygodniu znaleziono w studni w Kosocicach, niedaleko Podgórza w Galicyi zwłoki jakiegoś mężczyzny. Po wydobyciu ich z wody rozpoznano w nich gospodarza z Soboniowic, Franciszka Dynę. Żandarmerya po przeprowadzeniu śledztwa ustaliła następujące szczegóły zbrodni: W dniu 22 listopada wybrał się Franciszek Dyna wraz z małym wnukiem na jarmark w Podgórzu. Tam zapoznał się w kawiarni z dwoma nieznanymi ludźmi, przed którymi się wygadał, że ma przy sobie 100 koron, oraz że za chwilę wraca do Soboniowic. Kiedy Dyna był już w Kosocicach, owi nieznajomi przysiedli się na jego wóz. Po pewnym czasie rzucili się na Dynę i poczęli go dusić. Napadnięty uległ ich przemocy. Zwłoki bandyci obrabowali i rzucili do znajdującej się w pobliżu studni. Wnuka Dyny, który tymczasem usnął na wozie, zostawili na drodze wraz z wozem. Zbóje przynajmniej dziecko zostawili przy życiu.

(J. K.) **Ślub Polaka w Szwecyi.** Dnia 21 z.m. odbył się w Sztokholmie, stolicy Szwecyi, ślub Ludwika hr. Badeniego z córką adjutanta króla szwedzkiego. Ludwik Badeni, syn ś. p. Kazimierza hr. Badeniego, byłego prezydenta ministrów, był konsulem austryackim w Konstantynopolu a po śmierci ojca osiadł w swym majątku w Busku. Jako członek ambasady szwedzkiej poznał się ze swą żoną. Na ślub jego pojechała matka i ks. prałat z Buska. Żona jego ma być wyznania anglikańskiego, teraz zaś przechodzi na katolicyzm. Języka polskiego dopiero się uczy.

Kochliwy szupaśnik. W aresztach gminnych we Lwowie przebywał przed rokiem skazany przez władze na »szupas« niejaki Bekesz. W aresztach poznał ładną, 18-letnią, córkę klucznika, Stefanię G. i zawiązał z nią bliższy stosunek. Zbiegłszy następnie z aresztów, przebywał cały rok we Lwowie, nigdzie się nie meldując. Przez cały ten czas utrzymywał z G. stosunki, wreszcie, sprzykrzywszy sobie nielegalny pobyt w mieście, obecnie zniknął wraz z piękną Stefanią ze Lwowa. Za młodą parą rozpisano listy gończe.

Srogi „dyabeł“. W dniu św. Mikołaja, do pewnej rodziny niemieckiej, składającej się z ojca, matki i dwóch córek, z których starsza była zamężną i mieszkała z mężem przy rodzicach, przybył wieczorem przebrany św. Mikołaj z przebranym dyabłem i chłopcem, niosącym w koszyku pierniki, cukierki i — rózgi. Zastali ojca, synka starszej córki, młodszą córkę i jej narzeczonego. Nie był to właściwie narzeczony, lecz »przyjaciel« prawdziwego narzeczonego tej panienki. Narzeczony, jako młody urzędnik, został z tego miasta przeniesiony, a jego »przyjaciel« zaczął opuszczoną pocieszać, przyczem »szył buty« tak bezwstydnie tamtemu, że o mało panna z nim nie zerwała. »Przyjaciel«, przystojny, ładnie ubrany, opowiadał, że jest agentem handlowym, bardzo dużo zarabia, że ma w Tyrolu bogatych rodziców i szczęśliwa będzie ta, co za niego wyjdzie. W istocie był to nicpoń, który ludzi tylko oszukiwał, naciągał na pieniądze, w karty grał i niejedną brzydką sprawkę miał na sumieniu. Jeden z ajentów policyjnych miał też już na niego oko od pewnego czasu.



Jak dowcipnie zabrał się do dzieła, aby ptaszka schwytać, widać to na naszej rycinie. Agent ów, to bowiem był przebrany za dyabła i gdy »św. Mikołaj«, po odmówieniu przez chłopczyka pacierza, dał dzieciom cukierków, »dyabeł« wydobył z kosza dużą rózgę i złapawszy nagle wpół młodego człowieka, wyłoił mu skórę ile wlazło. Młodzieniec wyrwawszy się, przyskoczył zacietrzewiony do »dyabła«, wypraszając sobie takich żartów, lecz »dyabeł« mu na to:

— Nie na tem koniec, mój miły panie. Teraz pójdziemy razem!

— Gdzie? Jeszczem nie zwaryował, żeby z Mikołajem i dyabłem chodzić po ulicy!

— Ale pójdziesz, bratku, pójdziesz. Jeśli nie z nami, to w innem towarzystwie. To mówiąc, otworzył drzwi do sieni. Weszli dwaj agenci policyi.

— Z tymi panami pójdziesz.

Młodego człowieka opuściła pewność siebie. — Pobladł. Długo się sprászał i tłómaczył, że to zapewne pomyłka, bo on niczego nie ma na sumieniu, ale ostatecznie poszedł — do kozy. W ten sposób przebrany »dyabeł« sprawił, że dziewczyna uwolniła się od oszusta, który jej już dobrze zawrócił głowę.

Włamanie do Kółka rolniczego. W nocy z 28 na 29 listopada włamali się niewyśledzeni dotąd sprawcy do składnicy Kółka rolniczego w Dąbrowej. Weszli od strony dziedzińca, położonego w tyle domu i próbowali oderwać żelazny skobel od drzwi wiodących do wnętrza składnicy, a kiedy im się to snać nie powiodło, wyłamali drugie drzwi wchodowe i tędy dopiero dostali się do wnętrza. Naruszone towary wskazują na to, że sprawcy musieli przetrząsnąć dokładnie sklep, a potem dopiero dostawszy się do kasy ogniotrwałej, wypiłowali w niej otwór, wielkości głowy ludzkiej i zabrali jej zawartość, to jest około 300 koron. Narzędzie włamania, w postaci żelaznego, grubego pilnika, długości pół metra, zostawili przy kasie. Żandarmerya wdrożyła nąjenergiczniejsze kroki, celem wyśledzenia sprawców, a to tem bardziej, że i w okolicy, w Radwanie tej samej nocy dokonano u gospodyni Pyzikowej równie kradzieży, mianowicie 500 koron zabrano jej z komory.

Uparty samobójca. Pociąg osobowy, jadący po godzinie 6 wieczorem z Chyrowa do Przemyśla, był 26 listopada widownią niezwykle uporczywego, potrójnego, a przecież bezskutecznego zamachu samobójczego. Niejaki Karol Polaczek, czeladnik rymarski, spowodowany zdaje się rozstrojem nerwowym, zażył najpierw trucizny, a skoro ta nieskutkowała, strzelił do siebie z rewolweru raz w czoło, drugi raz w pierś. Pierwszy strzał przeszedł bokiem kości czołowej, zdzierając tylko skórę, a i drugi okazał się nieskutecznym. Wobec tego Polaczek, chcąc przecież skończyć z życiem, wyskoczył z pociągu i... wywichnął tylko rękę. Nieszczęśliwego przewieziono do Przemyśla i oddano go do szpitala, gdzie okazało się, że tak zatrucie, jak i rany są uleczalne i potrójny samobójca żyć będzie.

(J. K.) **Bójka w szynku.** Przed niedawnym czasem w Zakomarzu, w pow. złoczowskim, wszczęło w szynku Łucyszyna bójkę między sobą kilku awanturników, przyczem pobili właściciela szynku, który chciał ich rozłączyć, tak ciężko, że ten na drugi dzień zakończył życie. Awanturników ujęła zaraz żandarmerya i skutych odstawiła do sądu w Olesku. Z tego wypadku widzimy, że szynk trzeba zawsze omijać i nie próbować nigdy rozłączać ludzi pijanych, bo wtedy za dobre chęci możemy paść pastwą pijaków, którzy jak dzikie zwierzęta rzucają się na człowieka. A przecież człowiek pijany niczem nie różni się od zwierzęcia i owszem, stoi od niego niżej, bo człowiek ma rozum i wie, co robi, a zwierzę rozumu nie ma a pomimo tego nigdy pijane nie jest. Próbowano umyślnie siłą upić psa, to najwierniejszy pies pokąsał rękę swego pana a upić się nie dał. Cóż więc powiedzieć o człowieku? I czyż nie żal pieniędzy w krwawym pocie zapracowanych? I czyż nie wstyd trwonić je na alkohol i godność swą tak bardzo poniżać? I dlatego to taka bieda w Galicyi, że bardzo wielu zostawia grosz w szynku a w domu rodzina nie ma się czem pożywić. Biedniejemy z powodu szynków a żydzi się bogacą.

(W. T.) **Samobójstwo**. Dnia 27 listopada odebrał sobie życie przez powieszenie gospodarz Jakób Mrozek, lat około 50, ze wsi Ratułów, idąc z Cichego od siostry. Już blisko domu powiesił się w lesie na drzewie. Był on trochę umysłowo chory, zostawił po sobie żonę i kilkoro dzieci.

(J. K. **Trup w polu**. Przed kilku dniami znaleziono na polach gminy Gaje, w pow. brodzkim, zwłoki pewnej kobiety. Na zwłokach było wiele głębokich ran, a więc zamordowano ją. Żandarmerya przeprowadziła natychmiast śledztwo i aresztowała pewnego parobka i jego kochankę, przeciwko którym zebrała wiele rzeczy, obciążających ich bardzo.

(J. K.) **Rozszarpany przez pociąg**. Kilka dni temu w nocy najechał pociąg osobowy koło Krasnego na przechodzącego tam gospodarza. Skutki były straszne. Koła pociągu rozszarpały i zmiażdżyły do niepoznania ciało nieszczęśliwego. Po oglądnięciu przez komisyę sądowo-lekarską pozbierano szczątki ciała i pochowano na cmentarzu w Krasnem. Nie chodźmy nigdy torem kolejowym, bo on nie jest dla nas, tylko dla pociągu, a jeżeli musimy przejść przez tor, to oglądnijmy się przedtem dobrze, czy z którejkolwiek strony pociąg nie nadjeżdża.

(J. K.) **Śmierć przy kopaniu piwnicy.** — W Sokołówce, w pow. złoczowskim, kopało 5 robotników piwnicę pod domem szynkarza. Musieli widocznie za dużo podkopać ziemię, gdyż runął piec, znajdujący się w pokoju nad piwnicą, a zapadając się, przygniótł robotnika Melnyka, który doznał tak silnych obrażeń na ciele, że w kilka godzin po odgrzebaniu go umarł. Reszta robotników szczęśliwie ocalała. Bądźmy zawsze przygotowani na śmierć, bo nie wiemy czasu, kiedy nas Bóg przed swój sąd powoła!

(F. K.) **Burza w listopadzie.** W piątek, dnia 24 listopada wieczorem o godz. 8 powstała burza z piorunami i deszczem, a następnego dnia padał już śnieg. Burza ta była tylko w okolicy Orłowej, na Śląsku austr.

(F. K.) **Poświęcenie szkoły**. Dnia 26 listopada odbyło się uroczyste poświęcenie szkoły gospodarstwa domowego w Orłowej, na Śląsku austr. Na poświęcenie i przedstawienie, które się wieczorem odbyło, a na którem odegrana została sztuka: »Złe uroki«, mimo niepogody, przybyło bardzo wiele osób z okolicy. Uczenice podobnej szkoły w Krakowie złożyły wspólnie 1000 kor. na przybory kuchenne do kuchni tutejszej szkoły, a także piękny obraz św. Jadwigi, Królowej Korony Polskiej, jako podarunek dla sióstr w Orłowej. Piękny to przykład wspierania się wzajemnego i godny naśladowania.

Walka w lesie palmowym. Czytając o wiecznie słonecznych, pełnych niezwykłego uroku krajach południowych, o ziemi, która wydaje bujną roślinność o olbrzymich liściach, gdzie przeciągają karawany garbatych wielbłądów, niosąc towary wschodnie, które tak chętnie kupują Europejczycy, zdawać się może, iż to wymarzony raj ziemski.



Tymczasem obecnie w Trypolitanii, w lasach palmowych, rozlega się świst kul, huk armat, zamiast spokojnych wielbłądów i drzemiących karawan wszędzie stosy trupów, gromady wijących się w bólu śmiertelnie rannych żołnierzy. Obrazek nasz przedstawia walkę w lesie palmowym w Trypolitanii.

(S. R) **Stowarzyszenia polskie w Lipsku**. Od jednego z czytelników naszych w Lipsku, w Saksonii, otrzymujemy list następujący: Są tu towarzystwa polsko-katolickie, a szczególnie towarzystwa robotników polsko-katolickich. Jest ich w samym

Lipsku dwa, jedno pod opieką św. Kazimierza, drugie św. Stanisława. Obydwa te towarzystwa dosyć się dobrze mają; tego roku sprawiły sobie chorągwie. Celem tych towarzystw jest pielęgnowanie mowy ojczystej i obyczajów, przestrzeganie wiary św. katolickiej i wspólne pouczanie się. Oprócz tych towarzystw jest towarzystwo związkowe czyli tak zwane Zjednoczenie zawodowe polskie, w którem ci sami członkowie z dwóch towarzystw powyżej wymienionych są zabezpieczeni w razie bezrobocia, strajku lub innego złego wypadku. W czasie pozbawienia zarobku niejeden mógłby zostać bez środków do życia, albo wpaść w sieci tych »czerwonych« (socyalistów), których jest tutaj wielka siła i tam się pozbyć wiary św. i narodowości.

Srogość Włochów w Trypolisie. Z powodu że ludność arabska w Trypolisie, lubo z chwilą wkroczenia Włochów, poddała im się i okazywała przyjazne uczucia, kilkakrotnie jednak potem na niespodziewające się niczego złego oddziały wojska włoskiego zdradliwie napadła, wojsko włoskie urządziło Arabom za to rzeź straszliwą.



Ile w tem prawdy trudno stwierdzić. Nieprzyjaźnie dla Włochów usposobione gazety angielskie wypisują o tych włoskich »rzeziach« okropności, dowodząc prawdy swych opisów zeznaniami naocznych świadków. Włosi znów stwierdzają, że ukarać Arabów musieli, nie dopuszczali się jednak okrucieństw. Obrazek nasz przedstawia chwilę strzelania żołnierzy włoskich do Arabów.

Mieszkańcy Bośni wobec wojny włosko-tureckiej. Muzułmanie bośniaccy ciążą stale ku swoim współwyznawcom, ku Turcyi, uważają bowiem sułtana za najwyższego swego zwierzchnika kościelnego. To też zainteresowanie wojną trypolitańską wśród nich ogromne, a nawet składają znaczne datki pieniężne na wojnę z »niewiernymi« Włochami. W samem Serajewie zebrali za dni kilka 24.000 koron i to tylko wśród zwolenników jednego stronnictwa »Zjednoczona organizacya narodowa muzułmańska«, która rozwinęła po całym kraju żywą agitacyę i zdołała już zebrać 100.000 koron. Po meczetach (świątyniach muzułmańskich) oprócz zwykłych codziennych pięciu modlitw, odbywa się codziennie dodatkowa modlitwa za zwycięztwo tureckiego oręża nad Włochami. Wynika więc z tego, że muzułmanie bośniaccy uważają się w duchu za obywateli państwa tureckiego, choć losem są związani z Austro-Węgrami.

Córka pułku. Jedenasty pułk włoskich bersaglierów, obozujący pod Trypolisem, otrzymał niespodziewanie córkę pułku w osobie 4 letniej dziewczynki arabskiej, która się nazywa Fatma, zaś od żołnierzy otrzymała imię »Italia«. Po krwawej bitwie pod Trypolisem w dniu 23 października b. r. szeregowiec Munzio Grapetaglio znalazł w jednym z ogrodów dziewczynkę, omdlałą z głodu i zimna. Żołnierz zaniósł ją do obozu, gdzie za pośrednictwem tłómacza dowiedziano się, że dziewczynka nazywa się Fatma. O rodzicach swoich nie umiała podać żadnych szczegółów. Prawdopodobnie podczas ucieczki dziewczynka zbłądziła, a rodzina nie mogła jej znaleźć. Dziewczynkę, która była naga, odziano w koszulę żołnierską i ułożono pod derką w namiocie.

Do nowego otoczenia Fatma, czy Italia, przyzwyczaiła się szybko. Gdy w następnych dniach żołnierze bardzo często musieli odpierać ataki Arabów, wynosili dziewczynkę na bezpieczne miejsce, gdzie siedziała spokojnie. Nie trwało to długo. Regulamin wojskowy nie przewiduje takiej osoby, jak »córka pułku«. Pułkownik wydał zatem rozkaz, ażeby dziewczynkę odstawiono do pułku karabinierów w Trypolisie. Żołnierz, który dziewczynkę znalazł, odniósł ją do Trypolisu. Ale Fatma objęła za szyję swego opiekuna i nie chciała się z nim rozłączyć. Wkrótce zebrał się tłum ludności naokoło żołnierza. Przypadkowo nadszedł poseł włoski Baslini i dowiedziawszy się, o co chodzi, prosił, ażeby mu oddano w opiekę dziewczynkę. Po niejakiem wahaniu żołnierz oddał mu dziewczynkę. Baslini kupił jej odzież i umieścił na włoskim parowcu szpitalnym. Prawdopodobnie na tym okręcie pozostanie Fatma aż do chwili, gdy ją znowu zabierze żołnierz Grapetaglio, który sobie zastrzegł, że zabierze dziewczynkę jako córkę.

Wychodźtwo do Argentyny. W niedzielę dnia 19 listopada przejechało przez Kraków 250 wychodźców z Bukowiny i 90 z powiatu śniatyńskiego. Udali się oni przez Kraków, Tryest do Argentyny.

O wpływie wódki na pamięć ogłosił ciekawą pracę, opartą na ośmiomiesięcznych własnych doświadczeniach, profesor przy uniwersytecie w Chrystyanii, Dr. Ragner Vogt. Stwierdził on z całą dokładnością, że nawet drobne dawki alkoholu n. p. 15 gramów, to znaczy tyle mniej więcej, ile zawiera pół litra piwa, osłabiają stanowczo pamięć, utrudniając np. uczenie się wierszy na pamięć. Po użyciu 30 gramów alkoholu na czczo, pamięć bywa nawet przeszło o połowę gorszą. Oprócz tego zauważył Dr. Vogt, że to, czego się nauczył pod wpływem alkoholu, znacznie łatwiej zapominał. — Oto skutki picia napojów alkoholowych, które straszne szkody przynosi zarówno ciału jak umysłowi człowieka.

Latawiec w służbie policyi. — W jednem z miast amerykańskich popełniono morderstwo. Morderca uciekł, a policya nie wiedziała, co począć. — Wówczas zwróciła się do przypadkowo bawiącego tam lotnika francuskiego Simona, z prośbą o pomoc w przyłapaniu mordercy. Simon zgodził się; wziął ze sobą policyanta i wzniósł się latawcem w powietrze.



Niebawem dojrzał zbrodniarza. Wówczas szybko wylądował i policyantowi udało się schwytać zbrodniarza. Jest to dotychczas jedyny wypadek użycia maszyny latającej do służby policyjnej, nie jest jednak wykluczone, że w przyszłości policya, zachęcona pomyślną próbą, zorganizuje oddział agentów lotników.

Z rewolucyi chińskiej. Rewolucya w Chinach jest krwawą i zaciętą. Jak pisaliśmy, zbuntowane wojska zdobywały miasta, staczały z wojskami cesarskiemi zwycięzkie walki i sporo żołnierzy wiernych rządowi, przeciągały na swoją stronę.



Obrazek nasz przedstawia zaciętą walkę w mieście Hankau Rewolucyonistom zależało na zdobyciu dworca kolei, aby módz opanować ruch kolejowy w promieniu kilkudziesięciu mil koło Hankau. Walczą więc zażarcie i dworzec kolei wreszcie zdobywają.

Co daje większą siłę, mięso, czy rośliny? Dwaj Amerykanie wymyślili szczególny sposób przekonania się, czy potrawy mięsne dają dużo siły. Jeden z nich je wyłącznie potrawy roślinne, drugi odżywia się mięsem. Obaj postanowili wybrać się w długą podróż pieszą w Ameryce Północnej. W drodze jeden żywi się tylko potrawami przygotowanemi z jarzyn, towarzysz jego spożywa codzień mięso. Obaj nie używają alkoholu, sypiają na otwartem powietrzu. Z Bostonu wyszli obaj w kwitnącym stanie zdrowia. W czasie podróży konsument mięsa stracił bardzo na wyglądzie i sile. Jedzący roślinne potrawy czuje się zupełnie dobrze. Wszyscy też wyrokują, że tylko on dotrze do celu podróży. Widać z tego, że nie mięso wyłącznie daje zdrowie i siłę; włościanin, żyjący głównie potrawami roślinnemi, lecz pracujący w zdrowych warunkach, na świeżem powietrzu, zazwyczaj jest zdrowszy od jedzącego mięso mieszkańca miast.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: J. Stawowy w U.: Dziękujemy serdecznie za uznanie i wyrazy sympatyi. Jedną wiadomość zamieszczamy; druga nie nadaje się, gdyż człowiek ten już nie żyje. — Wojciech Drożdzik: Przy sposobności umieścimy. — St. Łukasiewicz w K.: Najlepiej zwrócić się w tej sprawie wprost do jakiej większej firmy, n. p. Krajowej Spółki zbytu trzody chlewnej we Lwowie. — Wojciech Kud i Jan Balawajder w M.: Za tak piękne życzenia serdecznie dziękujemy. — Marya Moroniówna: Wierszyk o św. Mikołaju przyszedł niestety zapóźno do tego numeru — schowamy go do przyszłego roku. — Jan Babik w M.: Niestety, u nas miejsca niema. Możeby się dało do kolei, niech Pan popróbuje. — Andrzej Wankowicz w H.: Szkoła ślusarska jest w Świątnikach, zaś szkoła kowalska w Sułkowicach. Do szkół tych przyjmują po ukończeniu szkoły ludowej. O bliższe informacye najlepiej zgłosić się wprost do Dyrekcyi tych szkół, (można i listownie), a Dyrekcya chętnie potrzebnych wskazówek udzieli. — Robert Rydz w T.: »Wigilię sieroty« otrzymaliśmy i dziękujemy. — Michał Więcław w N.: Z nadesłanych wierszy skorzystamy w stosownym czasie — Antoni Trojnar z B.: Dziękujemy za życzenia. Przygotowujemy bardzo piękne powieści dla rozerwania i pouczenia Czytelników. — Marcin Mleko: Wzajemne »Szczęść Boże« w pracy. — Marya Cząstka: Liczba Pani jest 617. Poprzedni numer był na r. 1911; ten zaś jest na r. 1912. Oby się spełniły życzenia Pani. Cieszy nas, że Kalendarz zyskał uznanie. Karol Szybiński. Okładka kosztuje nie 25 a 50 hal. Żądany Kalendarz jeszcze nie wyszedł.

Potwierdzenia prenumeraty za rok bieżący:

Stolarzewicz Stanisław z D. 2 K. — Gaweł Andrzej z G. 2 K. Światłowski Alojzy z W. 2·50 K. — Hajdo Wojciech z J. 2 K. — Jaworski Edward z N. 2 K. — Mroczek Ignacy z Ch. 4·50 K. — Bielawa Maryan z C. 2 K. — Piechota Franciszek z D. 2 K. — Balicki Karol z F. 2 K. — Marfiak Józef z J. 2 K. — Cyntler Józef z N. 2 K. — Zaborski August z P. 1 K. — Tabor Antoni z J. 2 K. — Julianowa Ponińska z K. 2 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 5 grud:.

Pszenica	Kor.	11·75	do	12·15	za 50 kg.
Żyto	„	10·10	„	10·45	„
Jęczmień	„	9·30	„	10·—	„
Owies	„	9·—	„	9·50	„
Otręby pszenne	„	6·85	„	6·95	„
Otręby żytnie	„	7·10	„	7·15	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 5 gdrudnia:

Buhaje	Kor.	100	do	300	za sztukę
Woły	„	250	„	350	„
Krowy	„	120	„	300	„
Jałówki	„	100	„	235	„
Cielęta	„	24	„	84	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie bita waga)	„	128	„	146	za 50 kg

Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

(Ułożył Rudolf Maak).

		1	2	3	4	5		
		3	7	4	8	5		
		8	5	1	9	5		
6	5	1	6	2	10	5	11	5
3	4	1	2	9	2	6	10	5
11	1	2	12	2	8	4	13	7
		9	2	6	14	15		
		16	17	10	14	5		
		8	1	5	6	5		

1. Państwo w Europie. 2. Część okna. 3. Inaczej łódka. 4. Przysmak z owoców. 5. * * * 6. Miasto w Galicyi. 7. Część domu. 8. Imię żeńskie. 9. Część ogrodzenia.

Czytając litery środkowe z góry na dół i poziomo dadzą nazwisko poety polskiego.

2. SZARADA.

(Ułożyła Zofia Pawłowska).

O gdybym drugie miał pierwsze tysięcy
Szedłbym na trzecią z kreską nigdzie więcej
Zebrałbym czwarte, jeśli będzie zima.
Całość poświęcił życie dla idei;
Pełen zapału, nie tracąc nadziei,
Lecz zmarł i już go między nami niema,

3. SZARADA.

(Ułożyła B. Moroniówna).

Pierwsze czwarte, rodzaj ziemi daje,
Za drugie czwarte kupiec towary sprzedaje,
Drugie trzecie ujrzysz na twarzy u siebie
Lub na wszelkich ubraniach w koniecznej po-[trzebie.
Byś się nad rozwiązaniem nie zmęczył dalece,
Powiem ci, że całość odnajdziesz w aptece.

4. SZARADA.

(Ułożył Akłaibok).

Drugą wspak z trzecią zrodził las,
A przechrzciła się w wiejskiej chacie;
Pierwsza trzecia, że kuje was
Gdzieś tam, nieraz się uskarżacie.
Całość haj! wszak był taki czas,
Żeś i sam wierzgał w niej, mój bracie!

5. ZAGADKA.

(Ułożył Józef Kulka).

Mam ciałko białe
Słodkie jak całus
Okrągłe całe,
Z kim chcesz się założ!
Główkę mam skrytą,
Nie widać buzi,
Lubią mię mali,
Lubią mię duzi!

5. SZARADA.

Pierwsza z drugą z papieru zapisaną bywa
Czasem też malowana wygrywa, przegrywa,
Kto jest czwarty i trzeci, ten się nie ośmieli
Pokazać ludziom, chyba że będzie w kąpieli.
Wszystko gród starożytny i potężny, który
Założyła kobieta wśród wołowej skóry.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 16 grudnia 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 48 *Roli*: 1. Zagadka: **Rum-mur**, 2. Szarada: **Minogi**, 3. Przyplatanka: **W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę. Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę**, 4. Szarada: **Litera**, 5. Szarada: **Rafa**, 6 Szarada: **Karawana**.

1.

Gdy się człowiek namozoli,
Mały wierszyk da do »Roli«:
Rum-alkohol — kto go pije,
Pewnie długo nie pożyje,
Murem zaś królewska władza
Miasta, twierdze swe ogradza.
Różne ryby w morzu żyją,
Kto ma grosze, ten je jada.
Z czterech liter zaś się składa
»Rola«. Aha! Ręczę szyją,
Że nasz poseł Maciek Bzdura,
Co to gdacze, jakby kura
Co dnia smacznie przy obiedzie
Je minogi lub też śledzie.
Rafa, arfa, czy też fara,
Znałem dawno — rzecz to stara.
Że nie byłem w tej krainie,
Gdzie żadna rzeczka nie płynie,
Gdzie kropelki niema wody,
Nic dziwnego — jestem młody.
Lecz widziałem na obrazku
Karawane, jak po piasku
Ciągnie się powolnym ruchem,
Często długim zbyt łańcuchem
Hej! dalipan! gdybym zuchem
Takim był jak Maciek Bzdura,
Zaraz siadłbym na grzbiet szczura
I pojechał do Afryki,
By zobaczyć jak kraj dziki,
Jak wygląda ta Sahara,
Pustynia stara jak Klara.

Józef Kobylański.

2.

Znowu zagadki dają do nagrody,
Więc baczność! Czytaj czyś stary czy młody
Nad rozwiązaniem chciej się fatygować,
A za to książkę możesz wylosować;
Ja się zastanowię, rumu pił nie będę,
Ale tak na trzeźwo do szarad usiędę.
Minogów jeszcze w życiu nie widziałem,
Lecz nogi już nieraz podróżą stracałem.
Jeszcze gdym chodził z tabliczką do fary,
Gdzie mię uczyli poznawać litery.
Rafa okuciem koła zawsze bywa,
A w dźwiękach arfy serce się rozpływa.
Kawa to napój, dużo używany,
Żołnierz na wojnie otrzymuje rany
Kara, rzecz dobra! nigdzie nie zawodzi,
Na lepsze ścieżki człowieka przywodzi.
Karawana często widziana w pustyni.
Lecz i pewien powóz karawan się mieni.
Żebym nie zapomniał słów wieszcza naszego,
Piszę je poniżej, bierz naukę z tego!
»Trudniej przeżyć dzień dobrze, niż napisać [księgę,
Widzim tylko chęć w działaniu a w słowach [potęgę!«
Jeślim wszystko dobrze odgadł to mi książkę [dajcie!
A jak źle, to rozwiązanie do kosza wepchajcie!

Franciszek Zdeb.

3.

Jak to pięknie, jak to miło,
Dzisiaj w nocy mi się śniło,
Książkę pięknie oprawioną
I brzegami ozłoconą,
Położono mi na stole.
Ja się pytam skąd? Od »Roli«.
Przecie wspomnąć serce boli,
Jakie to rozczarowanie
Dzisiaj rano mię spotkało.
Ale nowe rozwiązanie
Wkrótce jakoś się złożyło,
Napisałem. Ale przecie nim posłałem,
Wpierw je głośno odczytałem:
Alkoholem będzie rum,
Choć zakonnik woli mur,
Smakosze minogi morskie wychwalają,
Inni nad wszystko literaturę przedkładają.
Nasz wieszcz Mickiewicz sławny w całym [świecie,
Więc i myśl jego piękną niezawodnie znacie:
»W słowach tylko chęć widzim w działaniu [potęgę,
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać [księgę«,
Że słowo »Rola« z czterech liter się składa,
Tego tu tłumaczyć już mi nie wypada.
Następna szarada: rafa, arfa, fara,
Zaś ostatnia kawa, rana, kara
Razem w całości będzie karawana.
Książka mi się śniła, więc moja wygrana.

Wojciech Moroń z Ł.

Oprócz tego nadesłali rozwiązania PP.: J. Bobrowski z O., J. Tekieli z T., Arkadyusz Szarek z S. W., J. Tabaszewski z M., Wł. Dubaj z J., Dominik Stesłowicz z W., Adam Taska z J, J. Gaber z W. Ł., A. Bezokówna z K. M., Anna Żebrok z B., Fr. Krupa, Marya Klepacka z S., Gutowski z G., Karol Baron z P., H. Łukawski z J., Zofia Pawłowska z Z., Piotr Świrad z Cz., Zarząd Kółka rolniczego w Górkach, Józef Kubit z G. Józef Waszek z J., Józef Maziarz z Z.,

Pierwszą nagrodę p. t. ***Z chłopskiej niwy*** E. Zechentera wylosowała p. **Marya Kiepacka** z S., zaś drugą p. t. ***Jak Piastowie budowali Polskę*** p. **Józef Kubit** z G.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.